Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI | Niedziela, dnia 9 stycznia 1938 r. | Nr. 2

KARNAWAŁ! KARNAWAŁ!

MARZENIA



TĘCZOWE

ROZSNUŁY PRZECUDNĄ SNÓW NIĆ...

ADAM CZEKALSKI

14)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

W tym samym czasie w mieszkaniu Krupińskich działy się różne dziwne rzeczy. Więc przede wszystkim Lila popadła nagle jakby w jakiś stan omdlenia czy osłabienia. Oczy zaszły jej mgłą, świadomość stała się przytłumiona, myśl obracała się dokoła człowieka, którego jeszcze przed godziną niemal obie z matką wspominały prawie z odrazą.

— Co tobie, Lilu? — zaniepokoiła się matka. — Wyglądasz tak, jak gdybyś naraz omdlała, lub była wyczerpana.

— Nie wiem, nie wiem, mamo — szepnęła niewyraźnie Lila i osunęła się na małe karło, stojące pod piecem. — Czuję, że jest mi słabo.

— Może podać ci szklankę wody?

— Ach, nie, nie trzeba — może to przejdzie samo.

— Woda nie zaszkodzi, napij się, córuś.

Matka podała jej szklankę wody, którą Lila wypiła do samego dna i rzeczywiście, zdawała się ona poskutkować, bo potrząsnęła głową, jakby chciała zrzucić dziwny ciężar z głowy, poczem popadła w coś, jakby trans lub lekki sen. Ale sen trwał zaledwie kilkanaście sekund, poczem Lila podniosła się i przeszła po pokoju.

— Tobie naprawdę coś jest, dziecko — zaniepokoiła się nie na żarty matka. — Wyglądasz bardzo źle.

— Mylisz się, mamo, nic mi nie jest. Słabość minęła i teraz czuję się już dobrze, zupełnie dobrze. Proszę zostaw mnie samą, dobrze?

— W takim stanie?

— W jakim? Powiedziałam ci przecież, że to było chwilowe osłabienie, które minęło, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Ale mam chęć zostać samą, bo jestem nieco rozdrażniona, a rozdrażnienie to najlepiej i najłatwiej da się usunąć przez samotność.

Pani Ewa wzruszyła ramionami i wyszła z pokoju. A zaledwie drzwi za nią się zamknęły, Lila padła na krzesło i wpatrując się rozszerzonymi źrenicami gdzieś w dal, w jakąś nieokreśloną przestrzeń, zaczęła drżeć nerwowo. Dreszcze te trwały bardzo krótko, poczem minęły bez śladu i spokój zaczynał jej wracać, tylko oczy były wciąż nadmiernie rozszerzone i wpatrzone w nieokreśloną dal gdzieś za oknem. Naraz usta jej się rozchyliły i wyszeptała głosem cichym, jak najlżejszy szmer wiatru na otwartej przestrzeni — jedno jedyne słowo:

— Słyszę... Słyszę...

Ręce opadły jej bezwładnie wzdłuż tułowia, cała postać się wyprężyła, znieruchomiała i jak gdyby skamieniała.

— Tak... tak ma być — powtórzyły znowu jej usta głosem jakimś jak gdyby obcym i dalekim, przemawiającym do kogoś, kogo jakby widziała tuż przy sobie.

Wszystko to trwało nie dłużej, jak kilka minut. Po ostatnich słowach postać jej zaczynała zwolna nabierać elastyczności, życia, twarz, dotąd blada, bez jednej kropli



24. XII. przypadała setna rocznica śmierci pięknej królowej Elżbiety austriackiej, małżonki cesarza Franciszka Józefa.

— rumieńców, oddech, przedtem jakby zupełnie zniknęły — podnosił falisto pierś. Lila ocknęła się i błędnym nieco wzrokiem rozejrzała się dookoła. Pokój był pusty. Wstała i podeszła do drzwi, prowadzących do przedpokoju. W tej samej prawie chwili ktoś zadzwonił. Otworzyła. Na progu stał doktor Borowicz.

— Dobry wieczór pani — powitał ją, zdejmując kapelusz.

— Ach, to pan — ucieszyła się prawie Lila. — Wie pan, zdawało mi się przed chwilą, jak gdybym widziała pana idącego do nas.

— Czy być może? I cóż pani pomyślała sobie wtedy, jeśli można wiedzieć?

— Że dobrze pan robi, przychodząc tutaj.

— Doprawdy? Jestem pani niezmiernie wdzięczny za to dobre słowo.

— Proszę, niech pan wejdzie dalej. Zaraz poproszę mamę.

Borowicz przestąpił próg i poszedł za Lilą. Ta zostawiła go w pokoju, a sama pobiegła do dalszych pokoi, wołając:

— Mamo, mamo, pan Borowicz przyszedł.

Zdumiona pani Ewa pospieszyła na spotkanie gościa, nic nie rozumiejąc, nie pojmując tej nagłej zmiany u córki.

— Pan Borowicz przyszedł i pragnie cię powitać — powtórzyła Lila gdzieś opodal w drugim pokoju, ale słowa te dobiegły wyraźnie do uszu mister Johna. Uśmiechnął się do siebie tajemniczo.

— Dobry wieczór panu — powitała go pani Ewa, wchodząc do saloniku razem z Lilą. — Czemu mamy zawdzięczać honor pańskiej wizyty?

— Przyszedłem z prośbą — z wielką prośbą... — wyrzekł łagodnie, nie spuszczając z oka Lili, która zdawała się blednąć pod wpływem spojrzenia doktora, a oddech jej stawał się szybki i urywany.

— Słucham, o co panu chodzi?

— Dziś, za godzinę delegacja nasza wydaje raut pożegnalny dla przedstawicieli przemysłu łódzkiego.

— Wiem o tym — otrzymałam zaproszenie.

— Otóż ja, niezależnie od oficjalnych zaprosin, przyszedłem prosić panie osobiście, ażebyście raczyły wziąć udział w dzisiejszym skromnym przyjęciu.

Pani Ewa utkwiła ciekawy wzrok w twarzy doktora i twarz ta wydała jej się teraz, w tej chwili, w tym momencie, ogromnie sympatyczną i przyjazną. Przeniosła wzrok na córkę i mimo woli pokiwała ze zdziwienia głową: Lila uśmiechała się przyjaźnie do Borowicza i zdawała się dawać matce znaki, aby przyjęła zaproszenie. Po zrobieniu takiego szybkiego przeglądu sytuacji, pani Krupińska odrzekła:

— Daruje pan doktor, ale muszę mu odmówić.

— Ależ mamo — odezwała się raptem Lila — moglibyśmy tam przecież pojechać.

— Mój wóz czeka przed domem łaskawych pań do ich dyspozycji — skłonił się wytwornie Borowicz.

Matka spojrzała na Lilę, nic nie rozumiejąc.

— Przecież przed chwilą jeszcze byłaś taka osłabiona, Lilu — rzekła w formie wymówki Krupińska, a Borowicz na te słowa drgnął i uśmiech okrasił mu usta.

— To była chwilowa i nic nieznacząca słabość, po której nawet śladu już nie ma, mamo — wyjaśniła Lila. — I uważam, że przynajmniej ten jeden raz moglibyśmy zrobić panu doktorowi grzeczność, przyjmując jego zaproszenie.

Borowicz stał uśmiechnięty i zadowolony całkowicie, ale wzrok jego trzymał się nieustannie twarzy Lili, błąkał po jej oczach i jej wargach, ogarniał całą postać od stóp do głowy i znowu od nowa zaczynał swoją wędrówkę od początku do końca.

— Czasu jeszcze wiele, nie musimy przecież przybyć na raut punktualnie o godzinie dziewiątej — zauważył Borowicz. Jakąś godzinę lub więcej zajmą mowy i oficjalna część zabawy, co przecież nas najmniej może interesować, prawda? Niechże się tam starsi panowie przemysłowcy delektują swoją krasomówczością, ale bez nas. Wystarczy, gdy przyjedziemy na dziesiątą - jedenastą.

Pani Ewa nie wiedziała, co odpowiedzieć na to. Nie rozumiała zupełnie postępowania Lili i nie godziła się z nią wcale. Ona Borowicza bała się wciąż prawie instynktownie, przeczuwając w nim wroga, człowieka tajemniczego, który nie wiedzieć skąd i nie wiedzieć z jakimi intencjami przyszedł tutaj.

— Uważam mamo, podjęła znowu Lila — że tobie, jako dyrektorowi i właścicielowi fabryki, przystoi być na tym przyjęciu. Toż w finalizacji zamówień delegacji kalkuckiej dla firm indyjskich i ty partycypujesz, jesteś więc i materialnie zainteresowaną.

— Nie pojmuję cię zupełnie, dziecko — odrzekła na to wymijająco matka.

— Nie pojmujesz mnie? I dlaczego? Zawsze rozumiałyśmy się doskonale, ja nigdy nie miałam przed tobą żadnych tajemnic i nigdy nic przed tobą nie ukrywałam.

— Tak, to prawda — odrzekła w zamyśleniu pani Ewa. — A jednak... jednak zmieniłaś się dzisiaj gruntownie.

Lila roześmiała się dźwięcznie i zarzuciła piękne ramiona na szyję matki.

— Matuś najmilsza, czy gniewasz się na mnie?

— Nie, nie gniewam się, dziecko, ale widzisz... Ja nie mam najmniejszej ochoty iść na ten raut, coś jak gdyby mnie powstrzymywało.

— Czy czujesz się niedysponowana?

— To nie, czuję się zgoła dobrze, a jednak nie mam ochoty tam iść.

— Tak mi przykro, mateńko — czuliła się Lila. — Ale, jeśli wolisz zostać w domu, pozwól zatem mnie iść tam samej.

— Samej?

— No, nie tak dosłownie, gdyż będzie ze mną przecież pan Borowicz. Pozwól mi wyręczyć się w interesach — boć ta bytność na raucie jest sprawą handlową raczej, niż czysto bezinteresowną zabawą — choć ten jeden raz.

Pani Ewa wzruszyła w niezrozumieniu ramionami i nic nie odrzekła. Lila zaś zaczęła nalegać dalej, wywodząc cały szereg zgoła poważnych racji, aż w końcu przekonała matkę.

— Dobrze — odrzekła pani Ewa — wyjątkowo zgadzam się na ten jeden raz, ale...

— Ale nie pojmujesz tej nagłej mojej chęci zabawy, tej nagłej mojej sympatii nawet, jeśli tak można powiedzieć, do pana doktora, czy zgadłam?

— Może.

— Kochana matuś, nie martw się, nic mi się nie stanie — zawołała z czułością Lila, obejmując matkę za szyję. — Czy nie tak, panie doktorze? — zwróciła się następnie do Borowicza.

— Zaręczam pani całkowite bezpieczeństwo — odrzekł mister John poważnie.

Pani Ewa westchnęła.

— Ha, niech się dzieje, co być ma. Jeśli koniecznie chcesz jechać — jedź, ale nie zabawiaj tam zbyt długo, kochanko.

Lila pofrunęła do dalszych gdzieś pokoi, aby się ubrać, a tymczasem pani Ewa, wskazawszy doktorowi krzesło, zaczęła zabawiać go rozmową. Jednocześnie nie uszło jej uwagi, że Borowicz jest dzisiaj jakiś jakby roztrojony, czymś zaaferowany do tego stopnia, że rozmowa wciąż odbiegała od właściwych, poruszanych tematów, rwała się i nie kleiła. Jednakże doczekano jakoś pojawienia się Lili, ubranej w ładną, długą do ziemi, zieloną aksamitną suknię, niosącą okrycie na ręku. Borowicz powstał i podsunął się, aby pomóc jej przy włożeniu okrycia, a pani Ewa, obserwując tych dwoje ludzi, nie mogła powstrzymać się od zrobienia w myśli uwagi, że stanowią oni bardzo ładną parę.

— Więc dobrze — odezwała się pani Ewa, gdy ją Borowicz żegnał — polecam córkę pańskiej opiece i mam nadzieję, że nie zawiodę się na panu.

— Ufność ta przynosi mi prawdziwy zaszczyt, Milady.

— Zatem — wesołej zabawy.

— Dziękuję, mateńko — odrzekła Lila, znikając w drzwiach.

Wsiadając do samochodu, Borowicz szepnął coś szoferowi, a następnie zwróciwszy się do Lili, wyjaśnił:

— Mamy jeszcze blisko godzinę czasu, dlatego pozwolę sobie zaproponować przejażdżkę gdzieś za miasto.

— Najchętniej — odrzekła wesoło Lila.

Wóz poderwał się z miejsca, jakby nagle jakąś silną dłonią popchnięty i zaczął sunąć prawie bezszelestnie w górę ulicy Kościuszki, potem skręcił na lewo Przejazdem, wyrównał kurs w prawo na Piotrkowską i szofer „dał gazu".



Koło Stubenkammer (Rugia — Niemcy) osiadł na mieliźnie statek-prom „Preussen"

— Nareszcie mam szczęście znaleźć się tylko we dwoje z panią, Milady — szepnął ciepłym głosem Borowicz. Lila nic na to nie odpowiadała. Zasunięta głęboko w poduszki siedziała, patrzyła nieruchomym wzrokiem przed siebie, jakby wybiegała nim przed światło reflektorów wozu i milczała.

— Czy gniewa się pani na mnie, panno Lilu? — rzekł znowu Borowicz.

— Ja — na pana? Dlaczego?

— Bo nic pani nie raczy odpowiadać, jakby pani była gniewną.

— Nie, nie gniewam się, bo... o cóż miałabym się gniewać? Jest mi dobrze tak siedzieć przy panu i słuchać jego głosu, nic nie odpowiadając. Pan ma taki dziwnie dźwięczny głos!

— Nie dźwięczniejszy jednak od głosu pani. Bo ten wydaje mi się być muzyką, która mnie zniewala do służenia pani.

— Pański głos jest władczy, jest imperatywny, chociaż brzmi tak łagodnie.

— Czyż mógłbym pani rozkazywać? To raczej pani jesteś moją władczynią, której pragnąłbym zawsze i we wszystkim słuchać.

Lila nie odpowiedziała.

— I nazwę się najstraszliwszym z ludzi w chwili — podjął w dalszym ciągu Borowicz — o ile danem mi będzie usłyszeć z cudnych usteczek pani, że mnie kochasz choć odrobinę ,choć troszeczkę, że zezwalasz mi na to, abym stał się twoim niewolnikiem, twoim najpokorniejszym sługą. Bo — ja ciebie kocham, pani, kocham tak bardzo, że trudno mi nawet znaleźć określenie na wyrażenie tego uczucia.

Lila drgnęła i spojrzała prosto w twarz Borowicza, znajdującą się w półcieniu. I wydało jej się naraz, że twarz ta ukryta jest gdzieś daleko od niej, a głos jego dobiega do niej jak gdyby z dalekości jakiejś bezmiernej, jak gdyby z zaświata, gdzie toczą się globy ogromne i niezliczone.

— Pani — szeptał Borowicz — odpowiedz na moje prośby. Wiesz dobrze, że dałem ci dowód, iż cię nad wszystko w życiu miłuję, że cię pragnę i pożądam, jak asceta pożąda zbawienia i nicości. Jesteś wyrazem moich najwznioślejszych i najszczytniejszych pragnień, jesteś cząstką mej duszy, której nadaremnie szukałem w ciągu tylu — tylu lat. Odpowiedz, pani, że chcesz mi być druhem najwierniejszym i najbardziej miłowanym na resztę lat mojej wędrówki ziemskiej.

Lila milczała, doznając jednocześnie, jakby jakiegoś niezrozumiałego lęku, który zdawał się iść ku niej z ciemności okalającej ze wszystkich stron drogę, po której mknął samochód. Czegoś bała się instynktownie, przed czymś wyczuwała lęk jakiś niezbadany, niepojęty.

— Odpowiedzieć? Odpowiedzieć? — powtórzyła w zadumie. — Czy to nie za wcześnie, czy nie za prędko wymaga pan tak stanowczej i wiążącej mnie odpowiedzi?

— Znasz mnie pani, już tak dawno przecież — wyrzekł niepewnie Borowicz, a jednocześnie przyłapał siebie w myślach na słabości, której nie powinien był, nie miał prawa poddać się. I zarazem stwierdził, że zaczyna od pewnego czasu błądzić jakby po manowcach. On, członek wielkiej rady kapłańskiej, wprawdzie na razie niższego stopnia, ale zawsze wszak wtajemniczony, on, obdarzony siłą, jaka nie dana jest niewtajemniczonym, wybrany na prekursora wielkiego celu rady groźnej i tajemniczej, a zawsze strasznej dla zdrajców, zamiast być posłuszny temu, co było jego obowiązkiem — zbłądził na manowcach sentymentu i teraz szamotał się w sieci własnoręcznie przez siebie stworzonej na własne udręczenie. Od wyznaczonego mu terminu dwudziestu dni — odpadło już dni dziesięć, a on wciąż jeszcze nie mógł stanąć twarzą w twarz z groźnym starcem i powiedzieć mu: „spełniłem rozkaz". On wciąż jeszcze wahał się stosował półśrodki, bał się rzucić na szalę całą swoją moc i siłę. A tymczasem dokoła grunt zaczął z lekka palić się. Prawda, jednego z wrogów osadził w podziemiach, umyślnie w tym celu wynajętego, odosobnionego domu, i zostawił go tam pod dobrą strażą, ale inni, inni... Barłamp musiał mieć spólników, boć Dario widział drugiego człowieka pod oknem, który zbiegł. Co dalej? Co będzie jutro, pojutrze, za trzy dni? Nie wiedział i instynktownie bał się tego. Ale najbardziej lękał



Żołnierze japońscy w natarciu podczas walk na odcinku Szanghaj — Nankin.

się tego, że nad uwięzionym Barłampem stracił wszelką moc, wszelką władzę. On, dla którego dotąd nie było tak silnej woli, której by nie ujarzmił, tym razem był bezsilnym. A i Stadnicki... Ten także zaczynał mu się wymykać z rąk, spod kontroli, spod władzy. Ten także nie pozostanie bezczynnym, ale będzie szukał tego, który przyczynił się do wykradzenia planów jemu pod opiekę oddanych, do wykrycia bezpośredniego sprawcy.

Im dłużej nad tymi sprawami Borowicz się zastanawiał, tym więcej widział dokoła siebie niebezpieczeństw, które bezpośrednio już zagrażały i jemu i całej delegacji kalkuckiej handlowo - przemysłowej, za jaką powszechnie ją uważano.

Rozważywszy to teraz, postanowił działać energiczniej, użyć całej swej mocy i siły, aby zamierzony cel osiągnąć. Dlatego znowu zwrócił się do Lili, ale tym razem głos jego przypominał syczenie jadowitego węża:

— Odpowiedz, pani — mówił. — Powiedziałem ci kiedyś, że nie jestem człowiekiem z tego gatunku, który zniechęca się trudnościami i od zamierzenia swojego odstępuje. Powiedziałem ci, że musisz być moją i będziesz nią z wolą czy bez woli. Tak musi być, bo tak zapisanem zostało tam, gdzie wszelkie losy ludzkie bywają rozstrzygane.

Lila drgnęła nerwowo i mimo woli sięgnęła do twarzy ręką, bo jej się wydało, iż nagle jakaś zasłona otacza jej twarz, spada na oczy, więc pragnęła ją zdjąć. I rzeczywiście, zaraz doznała wrażenia nowego, że zasłona ta opadła, że umysł jej otrzeźwiał nagle, jakby ulotniły się z niego opary alkoholowe i przytomnie spojrzała dokoła.

— Co to jest? Gdzie my jedziemy? Kim pan jest? — rzucała nerwowo pytania, zdając się nic zgoła nie rozumieć, nic nie pojmować.

Borowicz zorientował się w jednej chwili i udał zarówno zdziwienie jak i niepokój. Zachował się jednak spokojnie i zwrócił się do Lili:

— Jak to? Czyż pani nie wie, gdzie się znajduje?

Lila przyjrzała mu się uważnie i zwolna zdawała sobie wszystko przypominać. Dotychczasowy stan jej wydawał jej się pół snem, pół jawą, ale teraz myślała trzeźwo i patrzyła trzeźwo.

— Ach, to pan — wyrzekła w końcu dziwnie roztargniona. — Przepraszam, wydawało mi się, że...

Wzrok Borowicza znowu wpił się z przedziwną mocą w twarz Lili, w jej oczy, potem zaczął błądzić po całej jej twarzy, zawisał na ustach, ogarniał całą jej elegancką postać, aż nareszcie udało mu się znowu opanować jej wolę i zmusić do posłuszeństwa swojej woli.

Doktor nacisnął dzwonek do szofera i nakazał mu przez tubę zawracać.

— Pozwoliłem sobie za zgodą pani — podjął po chwili Borowicz w formie objaśnienia — odbyć tę niedaleką przejażdżkę przed rautem. Ale skoro pani każe — wracamy natychmiast do miasta. Już szoferowi wydałem polecenie i teraz jesteśmy w drodze powrotnej.

— Dziękuję — szepnęła bezdźwięcznie i zapadła jakby w jakiś dziwny sen, który jednak nie był snem, ale też nie był i całkiem wyraźną jawą.

Po paru minutach zgrzytnęły hamulce i wóz zatrzymał się przed podjazdem jasno oświetlonego budynku. Kierowca wyskoczył i otworzywszy drzwiczki, stał przy nich z odkrytą głową. Borowicz wysiadł pierwszy i podał rękę Lili. Wysiadła i bezsłowa przyjąwszy jego ramię, poszła po schodach na pierwsze piętro, gdzie już zabawa dochodziła do punktu kulminacyjnego. Rzuciwszy okrycia na ręce garderobianej, podążyli do sali bankietowej. Na progu już wzrok Borowicza spotkał się z utkwionymi w siebie oczami czterech swoich współtowarzyszów, gości z pałacyku Rostafińskich. Skinął im porozumiewawczo głową i wszyscy czterej pośpieszyli naprzeciw na ich powitanie. Najstarszy z Hindusów witał ją wyszukanymi frazesami francuskimi, na które Lila odpowiedziała uśmiechem i uścisnęła dłoń śniadego syna Indii. Po nim podchodzili kolejno trzej dalsi i prawili jej równie ckliwo-słodkie dusery, a to zainteresowanie gospodarzy zwróciło natychmiast uwagę i gości, którzy poczęli cisnąć się do nowoprzybyłej pary z powitaniami.

Jeden tylko człowiek nie brał żadnego udziału w tym ogólnym chórze powitalnym, ale stojąc w cieniu framugi okiennej, obserwował wszystko, cokolwiek działo się na sali. W drugim końcu, naprzeciw tego człowieka, stał drugi w podobnej pozycji, z oka nie spuszczając Borowicza i Lili, która wydawała się jakby odurzona, albo pijana. W każdym razie robiła wrażenie niezupełnie trzeźwej i to właśnie najbardziej uderzyło komisarza Krajewskiego, stojącego naprzeciwko swego pomocnika Kulki. Obaj ubrani byli we fraki nieposzlakowanego kroju, w białych kamizelkach, koszulach, kołnierzykach i krawatach i robili wrażenie co najmniej jakichś dyplomatów, udających wywiadowców, aniżeli policjantów.

Gdy muzyka zagrała i pary ruszyły w tan, Krajewski skinął na Kulkę i obaj przeszli do bufetu.

— No i cóż? — szepnął komisarz. — Szukał pan?

— Tak. Zbobrowałem prawie cały pałacyk Rostafińskich od góry do dołu, przeszukałem wszystkie zakamarki od piwnic do strychu, ale nigdzie nie natrafiłem na najmniejszy ślad Barłampa.

— Sapristi! — zaklął komisarz. — A jednak musimy go odnaleźć, aby się dowiedzieć treści narad tych panów.

— Bez oficjalnego zezwolenia władz sądowych, nie będziemy mogli, niestety, przeszukać mieszkania Borowicza przy Piotrkowskiej, ani siedziby delegacji.

— Otóż to, otóż to... — powtórzył gniewnie komisarz. — Do diabła z oficjalnym zezwoleniem, tutaj trzeba działać póki czas, bez najmniejszego rozgłosu, rozumie pan, panie Kulka?

— Rozumiem, panie komisarzu, i nadaremnie głowię się nad tym, jakiego podstępu użyć wobec tego olbrzyma hinduskiego, aby go wyprowadzić w pole.

— Czyż stale siedzi on w mieszkaniu? Nigdzie nie wychodzi? Gdyby go się dało wyprowadzić z mieszkania, wezwiesz pan Icka Bulwę, ten otworzy najtrudniejsze zamki.

— Bulwa siedzi w areszcie.

— Weźmiesz go pan z aresztu. Ma drobną tym razem sprawę, więc nie ma obawy, aby próbował umknąć. Narzędzia znajdują się w magazynie.

— Rozkaz, panie komisarzu.

— No, to idź pan i pomyśl nad tą sprawą, a ja tu zostanę. Barłamp musi być wolny za każdą cenę, pojmujesz pan? Mam nakaz przyspieszenia całej sprawy, zanim Hindusi opuszczą granicę Polski. Istnieje podejrzenie, że plany inż. Kosibowicza znajdują się w ich walizach.

— Rozkaz — powtórzył Kulka i oddalił się wolno, a komisarz udał się z powrotem na salę.

Zobaczył Lilę samotną, bo właśnie Borowicz zajęty był wybieraniem przy bufecie bombonjery czekoladowej i przysunął się do niej.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

64)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Myślę, że pani przebrała się, aby ojcu swemu móc towarzyszyć w uciążliwej i niebezpiecznej podróży — uspokajał ją Leon.

— Rzecz tak się ma w istocie — zawołała dziewczyna — przebranie to było pomysłem mego ojca, gdyż zdawało mu się, że ja w nim bezpieczniejszą będę; mną zaś nie powodowała bynajmniej chęć awantur, lecz troska o starego mego ojca! Niech pan mnie źle nie sądzi!

— Daleki jestem od tego — zapewniał ją Leon — i może pani być pewna mej dyskrecji.

— O tak, proszę pana! — zawołała panna Hiller — niech pan nic nie mówi i obchodzi się ze mną dalej, jak z małoletnim chłopakiem. Ojcu memu byłoby bardzo nieprzyjemnie, gdyby się dowiedział, że zdradziłam się. On i tak zawsze się boi, że...

Nie dokończyła i zarumieniwszy się, spuściła oczy. Chciała powiedzieć:

Że mogłabym się zakochać i za mąż wyjść!

Wstydliwość dziewicza zabroniła jej jednak wypowiedzieć to przed Leonem, który się też niczego nie domyślił, i rzekł pocieszająco:

— Jest to całkiem naturalne, że ojciec obawia się o panią tu w tej pustyni, chociaż teraz nie ma niebezpieczeństwa, wobec tego, że ma pani teraz we mnie i w Billu dwóch nowych obrońców, panno Hiller!

— O, niech mnie pan tak nie nazywa! — prosiła młoda dziewczyna zaniepokojona. — Ojciec mógłby to usłyszeć! Niech mnie pan dalej nazywa Franciszkiem! Nazywam się Franciszka, a ojciec mój dawniej już żartem po męsku mnie nazywał. I dla pana chcę zostać nadal Franciszkiem, panie Jim!

— Jak pani sobie życzy — odpowiedział Leon — ale proszę się teraz znów położyć, bo będzie pani rano zmęczona. Upior już drugi raz się nam nie pokaże; a zresztą nadchodzi czas, w którym Bill i Tom mają mnie zwolnić. Muszę ich zbudzić!

— Dobranoc, panie Jim, a niech pan strzeże mojej tajemnicy! — rzekła Francis, którą nadal będziemy tak nazywać.

Mówiąc to, wysunęła się cicho i położyła się znów obok śpiącego ojca.

Leon zbudził towarzyszy, na których przychodziła kolej czuwania i sam położył się na spoczynek, lecz sen nie przychodził.

Odkrycie, którego dokonał, dało mu wiele do myślenia. Teraz zrozumiał niejedno, co mu się przedtem zagadkowym wydawało. Postanowił jednak oddalić się od dziewczyny, aby nie wzmocnić wzrastającego jej dla niego przywiązania.

Na drugi dzień rano opowiedzieli Bill z Tomem triumfująco, że się już upiór tej nocy nie pokazywał. Francis spojrzała na Leona z niemą prośbą, aby przygód ostatniej nocy nie poruszał. Wspominając bowiem, dlaczego nie wystrzelił do upiora, musiałby skłamać, albo prawda wyszłaby na wierzch!



Słynna węgierska para mistrzowska rodzeństwa Szekrenyessy w czasie popisu na lodowisku.

Milczał więc, a stary Hiller był bardzo zadowolony i wygłosił cały wykład, udowadniając naukowo, że wszelkie upiory są czymś absolutnie niemożliwym, i że Wudajo twierdząc, że widział to zjawisko, musiał być pijany, a Jim musiał mieć halucynacje.

Bill potrząsał wprawdzie niedowierzająco głową, ale nie sprzeciwiał się. Hiller zaś myślał, że wszystkich słuchaczy swoich przekonał i był z rezultatu mowy swojej zadowolony.

Gdy się w dalszą podróż wybierali, spostrzegł Tom, że mu brakowała flaszka wódki.

Francis myśląc, że to ta, którą jej Leon skrapiał tej nocy skronie, zaczęła szukać między chrustem, ale na próżno, flaszki nie było!

Wreszcie zniecierpliwiony Hiller dał znak, aby ruszyć w drogę.

Podczas dalszej podróży trzymał się Leon u boku starego Hillera i słuchał cierpliwie długich wywodów o jego odkryciach.

Francis jechała wolno za nim. Wyglądała poważnie i smutna, a w oczach nieraz łezki się zakręciły.

Ponury deszczowy dzień utrudniał im posuwanie się naprzód. Nie było słońca i cienia, które by im służyło za kompas.

Również i noc wcześniej zapadła niż zwykle i zmusiła ich do wczesnego spoczynku.

Leon trzymał się i podczas wieczerzy z daleka od Francis. Rozmowa urywała się i byłaby zupełnie ustała, gdyby nie rozmowność Billa, który dziś pierwszy objął straż, zaopatrzywszy się w cały arsenał broni i amunicji.

Stary Hiller obudził się wkrótce, gdyż jasny księżyc świecił mu prosto w twarz. Gdy się podniósł i wokoło siebie oglądnął, zobaczył, że Bill smacznie zasnął i głową okropnie blisko był płomieni. Chciał właśnie wstać i zbudzić niesumienną straż, gdy zobaczył tuż przed sobą widmo dziewiczego lasu, wpatrzone w niego ognistymi oczyma i wydłużające się przed przerażonym jego wzrokiem do olbrzymiej wielkości!

Niezdolny do poruszenia się, zdrętwiały ze strachu, krzyknął Hiller przeraźliwie, a w tej samej chwili upior skurczył się i jakby zapadł się w ziemię.

Człowiek nauki, przyrodnik, który zaprzeczał istnieniu duchów, drżał na całym ciele i patrzał z przerażeniem na miejsce, w którym mu się zjawisko ukazało.

ROZDZIAŁ CCXXXIX

Zajmujący pacjent

Gdybym się dowiedzieć mogła, kto jest kochankiem mojej baronowej — myślała Mala i założyła pracowite swe ręce, które w tej chwili naprawiały prawdziwą koronkę — że ona ma kochanka, to jest pewne, bo zupełnie zmieniła się od ostatniej swej bytności w operze! W domu nikt obcy nie składał wizyty; kto to być może?

Myśli Marii przerwał turkot powozu. Przed pałac hrabiów Dornbruch zajechała elegancka czwórka. Wysiadł z niej mężczyzna w ubiorze cywilnym, jednak po ruchach jego poznać było wojskowego, i wszedł do pałacu.

— Jezusie Święty! Rudy Petöfy! — zawołała Mala na widok gościa — skąd on się tu wziął? Myślałam, że on jeszcze w więzieniu! Muszę go teraz bacznie śledzić!

Odłożywszy robotę swą do koszyczka, zmieniła obuwie na lżejsze i wysunęła się ze swego pokoju. Wzięła do rąk szczoteczkę do kurzu i weszła ostrożnie do pokoju, który graniczył z salonem.

Ale mimo, że nadsłuchiwała z natężeniem, nie słyszała ani jednego słowa. Otworzyła ostrożnie drzwi, salon był próżny.

— Czyżby baronowa przyjęła księcia w swoim buduarze? — szeptała Mala — ależ ona sobie na to pozwalała tylko z najlepszymi przyjaciółmi! Musi między nimi już być wielka zażyłość. O, rudy Pietryk ma doświadczenie w łamaniu serc.

Uśmiechnęła się na wspomnienie jego przygód miłosnych, które w Wiedniu ogólnie były znane.

Ciekawość nie dawała jej jednak spokoju. Przeszedłszy kilka komnat, stanęła w pokoju, który graniczył z buduarem jej pani, a twarz jej rozjaśniła się. Usłyszała bowiem wyraźnie głos baronowej.

— Jest to dla mnie zagadką, książę!

— Czy może ja byłbym w stanie zagadkę tę rozwiązać? zapytał Pötofy.

— Zdaje mi się, że pan potrafi, bo sam jesteś przedmiotem tej zagadki.

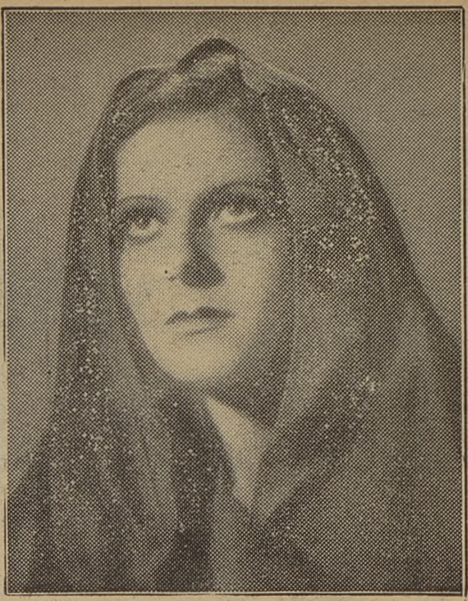
— Słucham, pani baronowo i będę się czuł szczęśliwym, mogąc się pani przysłużyć — rzekł książę. — Domyślam się o co chodzi — dodał — dziwi się pani pewnie, że już jestem wolny?...

— Jest pan domyślny — odparła Ada. — Muszę się przyznać, że byłam okropnie zdziwiona, gdy pana przed tygodniem w operze zobaczyłam.

— Przepraszam panią, ale to było przed pięciu dniami! — rzekł Pötofy z naciskiem.

— Skądże to książę tak dobrze pamięta? — spytała Ada kokieteryjnie — przypuszczam, że widzenie się ze mną nic





Hilda Hildebrand i Maria Cebotari — dwie główne partnerki w nowym filmie Beniamino Gigli pod nazwą „Pieśń Matki".

jest dla pana tak ważnym, żeby aż datę pamiętać.

Ostatnie słowa wypowiedziane były tak cicho, że Mala nie mogła ich usłyszeć, musiał to być jednak wielki komplement, gdyż Ada odpowiedziała:

— Gdybym nie wiedziała, że książę jest największym komplemenciarzem w całym Wiedniu, to mogłabym to pochlebstwo wziąć za dobrą monetę! Niech mi pan jednak odpowie na moje pierwsze pytanie: Czemu to zawdzięczamy, że się książę pan wcześniej wydostał na wolność, niżeśmy się spodziewali?

— Słowo honoru, dumny jestem z tego, że pani baronowa tak się moim losem zajmuje! — zapewniał ją rudy Piotr. — To krótka historia: Zachorowałem mocno (to rzekłszy zaśmiał się) i lekarze wystawili mi świadectwo, że muszę być uwolniony dla odzyskania zdrowia! Moi wpływowi krewni wstawili się za mną do cesarza, no, i uzyskali moje uwolnienie. Wolno mi teraz poruszać się swobodnie i zmieniać miejsce pobytu wedle woli, ale gdy wyzdrowieję, muszę wrócić do twierdzy i odsiedzieć resztę kary.

— A kiedyż książę myśli zupełnie wyzdrowieć? — spytała Ada zainteresowana.

— Nigdy — rzekł rudy Piotr z naciskiem i wybuchnął głośnym śmiechem, a Ada mu zawtórowała.

— Ha, ha, ha, — zawołała — wyborny żart! Byłby książę świetnym dyplomatą! Każdy inny bowiem byłby na miejscu księcia odsiedział pokornie całą karę; książę zaś wykręcił się dowcipnie sianem. Chciałabym tylko wiedzieć, jak się doktorowie mogli tak dać nabrać?

— O, to był najtwardszy orzech — rzekł rudy Petöfy — i gdybym nie miał bardzo dobrej pomocy, nie byłoby mi się udało zamydlić doktorom oczu. Wsunięto mi w ręce jakieś proszki wraz ze sposobem użycia, a ja połykałem je kilka razy dziennie z prawdziwie bohaterską odwagą. Skutki zaś były takie, że lekarze, nie mając pojęcia o moim podstępie, myśleli, że jestem umierający.

— Ale czy to nie narażało organizmu pana? — spytała Ada, a piękna jej, lecz zwykle tak obojętna twarz, wyrażała prawdziwe zaniepokojenie i troskę.

— Jak pani ze mną współczuje! — zawołał książę rozczulony i ucałował serdecznie rękę baronowej. Potem dodał z uspokajającym uśmiechem:

— Musiałem wprawdzie używać potem pewnego antidotum, aby zneutralizować szkodliwe skutki tamtych proszków, ale teraz zestem zdrów jak ryba. Udaję już tylko pacjenta, a to mnie okropnie krępuje i ogranicza.

— Czy to nie było nieostrożne ze strony księcia, chodzić do opery? — spytała Ada zaniepokojona. — A gdyby pana spostrzeżono?

— Nikt mnie jednak nie spostrzegł — pocieszał Petöfy piękną swą przyjaciółkę — z ostrożności przyszedłem późno, bo już po rozpoczęciu i odszedłem przed ostatnim aktem. Podczas przedstawienia zaś trzymałem się w głębi loży. Moi koledzy poznali mnie wprawdzie, ale ci mi nie zaszkodzą, prócz nich zaś nikt mnie nie widział.

— Mimo to nie śmie może pan więcej odwiedzać opery! — rzekła Ada z widoczną troskliwością. — Niech pan tylko pomyśli, gdyby tak cesarzowi doniesiono, że książę Petöfy zabawia się w operze! Musiałby pan zaraz wracać do twierdzy!

— Nie bardzo miły pobyt! — odparł książę, wstrząsając się ze wstrętem — dawano mi wprawdzie jasno do zrozumienia, że mam niejedno ułatwienie, ale mimo to było tam okropnie! Niech się pani nie obawia, kto się na gorącym sparzy, ten i na zimne dmucha! Będę się wystrzegał!

— Książę tylko tak mówi — westchnęła Ada — a w rzeczywistości tak jest nieostrożny, że w jasny dzień wyjeżdża.

— Przepraszam panią — odpowiedział książę z powagą — ale lekarze kazali mi codziennie w południe wyjeżdżać na świeże powietrze, jestem bowiem zanadto osłabiony, aby chodzić, a powietrze mi potrzebne! Czy nie wyglądam blado?

— Książę zawsze był bardzo bladym — brzmiała odpowiedź Ady.

— Za to wszystek kolor skoncentrował się w moich włosach — zaśmiał się rudy Piotr — my, Petöfy, nie mamy silnych rumieńców, a mimo to kuzyn mój, czarny Piotr, ma kolosalne szczęście u płci pięknej. Czy on często bywał u pani w ostatnim czasie? — dodał on, rzuciwszy bacznym i gorącym spojrzeniem.

— Nie, wcale nie — rzekła baronowa obojętnie — słyszę, że kuzyn pański obraca się teraz wiele w sferach, leżących po za obrębem naszych znajomości. Mówią głośno o tym, że zamierza żenić się z jakąś mieszczańską wdówką.

— Może z panią Waldau? — zapytał książę żywo, a oczy jego zaświeciły się demonicznym, złowrogim blaskiem.

— Nie znam nazwiska tej osoby! — odpowiedziała Ada pogardliwie. — Trudschlebiał jej rudy książę.

— Czy książę zna tę osobę? — dodała Ada.

— Poznałam panią Waldau u hrabiny Nostiz — odparł książę wymijająco, chcąc ominąć szczegóły — przestrzegłem swego kuzyna, aby się nie zagalopował z tą damą i to było powodem mego pojedynku. Opiekun pani Waldau bowiem, Gelini, słysząc tę przestrogę ,był dość bezczelny, aby mnie za to wyzwać! Naturalnie, że tego mieszczucha zastrzeliłem!

— Czy ta pani Waldau jest ładna? — spytała Ada pełna zazdrości.

— To jest rzeczą gustu! — odparł rudy Piotr z dobrze udaną obojętnością. — Co do mnie, nie umiem się zachwycać tego rodzaju pięknością bez duszy i wyrazu i żądam czegoś więcej, niż zalet wewnętrznych. Pani Waldau jest osobą bez gustu i doświadczenia światowego i nudna w rozmowie jak lukrecja. Nie posiada ani wykształcenia, ani dowcipu. Podobno nie uczęszczała nawet do szkoły!

— Okropne! — zawołała baronowa Sturmfeder. — Jak to możliwe, aby takie stworzenie mogło na trwałe zająć i przywiązać człowieka tak wychowanego jak książę Petöfy! Spodziewam się, że cesarz nie pozwoli na ten związek i że książę uczyniłby się przez to niemożliwym w naszym towarzystwie, gdyby związek ten mimo wszystko do skutku doszedł!

— Pewno! — potakiwał rudy książę złośliwie. — Ale mówmy o czym innym. Przyznam się, że mię ani pani Waldau, ani mój tytuł wiele nie zajmują! Są osoby, o których więcej myślę!

Mówiąc to, rzucił na Adę ogniste spojrzenie, ona zaś spuściła oczy, udając skromną.

— Jeśli spojrzenia moje nie zdradziły pani stanu mego serca — rzekł teraz książę z wrastającą namiętnością — to muszę pani to słowami wyznać! Jestem chory, beznadziejnie chory na serce! Serce moje rażone jest śmiertelnie strzałą Kupida, i pani, najpiękniejsza kobieta w świecie, może mnie uzdrowić!

Klęcząc przed Adą, wypowiedział te słowa, z których każde z osobna było ciężką obrazą i obelgą dla zamężnej kobiety.

— Wstań pan! — błagała Ada — Na miłość Boską, książę, gdyby nas tak tu kto zaskoczył i pana w tej pozie przede mną zobaczył!

— To miałbym dość odwagi ponieść wszystkie konsekwencje swego czynu! — odpowiedział Petöfy hardo — Ado, uwielbiam cię! Wysłuchaj mnie, albo skonam

u twych nóg, bo życie bez ciebie nie ma dla mnie wartości! Powiedz, że mnie kochasz, bo inaczej nie wyjdę stąd żywy! Dla poparcia swoich słów wyciągnął z kieszeni rewolwer i skierował go do swej piersi.

— Litości! — wyjęknęła Ada — oszczędzaj swe drogie życie, kochany!

— Więc mnie kochasz, o bosko istoto? — spytał książę, przechodzę z podziwu godną szybkością, z największej rozpaczy w najwyższy zachwyt. — Kochasz mnie! Powtórz raz jeszcze, że mnie kochasz!

— Kocham cię! — szepnęła Ada.

Mala, która słyszała za drzwiami każde słowo, zbladła na groźbę księcia, obawiając się katastrofy. Słysząc jednak, że sprawa wzięła inny obrót, uśmiechnęła się i pomyślała:

— Jak głupią byłam, że się dałam tak nastraszyć! Była to przecież ze strony księcia tylko komedia, aby wymusić na baronowej wyznanie miłości!

Schyliwszy się teraz do dziurki od klucza, zobaczyła Mala panią swoją w objęciach księcia, który twarz jej okrywał gorącymi pocałunkami.

Widok ten rozjaśnił i rozpromienił fizjognomię garderobianej.

— Kiedy cię znów mogę zobaczyć, sam na sam, skarbie mój? — zapytał książę, pożerając Adę wzrokiem.

Odpowiedź Ady była tak cicha, że Mala nie mogła usłyszeć, ale musiała być zadowalniającą, sądząc z miny księcia Petöfiego.

— Jestem pomszczona! — myślała Mala z tryumfem. — Bóg jest sprawiedliwym sędzią! Egon złamał przysięgę wierności, a teraz żona jego jemu się sprzeniewierza. Ożenek jego, nie sprawił mu jeszcze ani jednej wesołej chwili.

Szuka on sobie wprawdzie rozrywki poza domem, ale i to tylko na to, aby zagłuszyć nieczyste sumienie. Będzie to dla niego wielki cios, jeżeli się dowie o niewierności swej żony. Bo jeśli ją nawet nie kocha, to przecież obrażona jego miłość własna będzie dotkliwie zraniona. A że się prędko dowie o rogach, które mu własna małżonka przyprawia, to już będzie moją rzeczą!

Knowanie Mali przerwało wejście barona Sturmfedera. Przestraszona garderobiana potrąciła stolik, z którego spadły zgrabne flakoniki i figurki na ziemię, tłukąc się z brzękiem w kawałki.

— Niezgrabo! — krzyknął baron, marszcząc brwi.

Przypadek ten uratował Adę, ale i Mala była zadowolona, bo nie chciała, aby się baron już dziś o tym dowiedział. Chowała sobie zemstę na później.

Ostry głos Egona przestrzegł kochanków. Ada odchyliła drzwi buduaru, aby zobaczyć co się stało.

— Popatrz, ile cennych rzeczy tu się w kawałki potłukło! — zawołał baron szorstko —, byłby też czas, abyś tę niezręczną osobę oddaliła!

Mala porozumiała się wzrokiem z swoją panią, i przystąpiwszy do niej, szepnęła pokornie:

— Niech mi pani baronowa wybaczy! Będę na przyszłość ostrożniejszą!

— Nie stało się nic tak strasznego — rzekła Ada uspokajająco, a zwróciwszy się do swego męża, dodała:



Masyw Dolomitów przy przesmyku Pordoi, gdzie ostatnio lawina przysypała 21 instruktorów narciarstwa. Tylko 2 zdołano uratować.

— To wszystko niemodne i miałam już dawno zamiar wyrzucić te graty z pokoju! Trzeba to potłuczone szkło prędko stąd uprzątnąć. Malo — rzekła znów do garderobianej — a czy koronki już naprawione?

— Są już prawie gotowe — odparła Mala.

— Psujesz ją swoją pobłażliwością! — rzekł Egon.

— Uspokój się, mój przyjacielu! — szepnęła Ada. — Mamy gościa! Książę Petöfy zaszczycił nas swoimi odwiedzinami!

— Czarny Petöfy? — spytał baron szeptem, zaszczycony widocznie tak wysokim gościem.

— Rudy! — była lakoniczna odpowiedź Ady.

Baron machnął ręką. Byłby wolał tamtego, jako właściwego reprezentanta rodu Petöfych, ale i rudy był księciem i znajomością nie do pogardzenia. Zrobiwszy więc przyjemną i uprzejmą minę, wszedł za żoną do buduaru, aby powitać jej kochanka!

Nemezis, jesteś sprawiedliwą!

Egonowi odpłacił teraz los pięknym za nadobne. Zbałamucił on niejedną zamężną kobietę, a teraz ktoś inny jemu rogi przyprawił.

Podczas gdy baron silił się na koncepty, aby zabawić książęcego swego gościa, ten w tym samym czasie przemyśliwał nad tym, jakby najzręczniej urządzić tajną schadzkę z Adą.

ROZDZIAŁ CCXL.

W kancelarii adwokata Eisenharta.

Ogłoszenie adwokata Eisenharta dotyczące Idy wzbudziło także żywą uwagę Cyli Spiller. Przeczytała go dwa razy i pobiegła z gazetą w ręku do godnej swej mamy, która zajęta była naprawianiem bielizny.

Na widok ziritowanej twarzy córki, robota wypadła jej z rąk.

— Czy się pan Beinling zaręczył? — spytała przerażona.

Musimy tu dla poinformowania szanownych czytelników dodać, że pani Spiller pogodziła się z Beinlingiem i zrezygnowała z odszkodowania za poplamiony dywan. Pan Beinling zaś ze swej strony, nie dał się prześcignąć we wspaniałomyślności i kupił swej gospodyni zupełnie nowy i ładny dywan, który nabył tanio na wyprzedaży.

Zawstydzona tą hojnością, oświadczyła pani Spiller Beinlingowi, że jest gentlemanem w całym tego słowa znaczeniu i że gestem swym przewyższa galicyjskiego barona i rosyjskiego hrabiego, którzy u niej przedtem ten pokój wynajmowali.

Pochlebstwo to usunęło ostatnią odrobinę żalu, jaki Beinling czuł do swej gospodyni.

Odkorkował przy tym na zgodę flaszkę starego wina, i od tej pory zaczął być dla Cyli bardzo uważającym. Co więcej, przedłużył pobyt swój we Wiedniu, w którym początkowo tylko 3 dni miał zabawić, a pani Spiller powzięła serio nadzieję, że pana Beinlinga będzie mogła kiedyś jako zięcia powitać.

Dlatego też widząc przerażoną twarz swej córki, zapytała raz jeszcze:

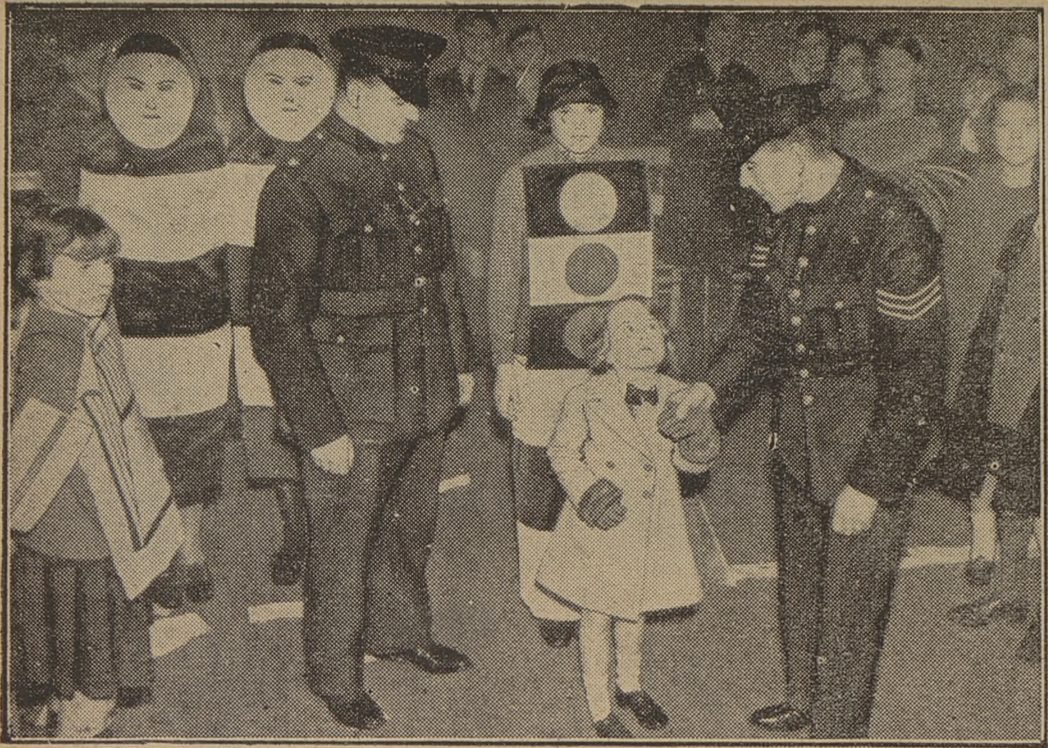
— Czy się może pan Beinling zaręczył?

— Głupie pytanie! — zawołała panna Cyla, z niebardzo wielkim uszanowaniem dla swej rodzicielki. — Gdyby się Beinling zaręczył, to ja bym musiała coś o tem wiedzieć, bo on by się tylko ze mną zaręczył.

Wypowiedziała to z wielką pewnością siebie i popatrzała zadowolona w lustro, które wisiało na ścianie.

— Cóż mi masz ważnego do powiedzenia? — zapytała matka.

— Niech sobie mama pomyśli, co w gazecie wyczytałam! — zawołała Ida zirytowana. — Adwokat Eisenhart ogłosił, że prosi Idę Steinert, tę głupią gęś, w najuprzejmiejszych wyrazach, aby się do niego zgłosiła. Co on jej może mieć do powiedzenia?



Angielskie dzieci uczą się obecnie pod kierunkiem policji prawidłowego przechodzenia przez ulicę.

Pani Spiller pomyślała przez chwilę, potem zawołała:

— Czy się niczego nie domyślasz, Cylo? To jest podstęp Haiów. Chcą oni Idę koniecznie w swoje ręce znów dostać, i dlatego prosili Eisenharta, aby w swoim imieniu ogłosił. Obawiam się, że Ida będzie dość głupia i uda się w zasadzkę złapać!

— Zdaje mi się, że mama ma słuszność! — odpowiedziała córeczka — bo cóżby Eisenhartowi na Idzie mogło zależeć? Wie mama, co zrobię? Opowiem całą tę historię markizowi, bo jestem pewna, że on mi za to coś ładnego podaruje. Mam apetyt na złoty łańcuszek; ten który mam od mamy, jest zanadto cienki. Jeślibym od markiza dostała ładniejszy to dałabym swój stary do złotnika i dopłaciłabym coś jeszcze, aby go zamienić na bransoletkę.

— Ty o niczym innym nie myślisz, tylko o strojeniu się i fatałaszkach — zganiła ją matka — jak się pan Beinling spostrzeże, żeś taka próżna...

Panna Cyla zatknęła sobie uszy i wybiegła z pokoju, aby nie słyszeć dalszych morałów swej matki, które nie były w jej guście.

Włożyła ładny fartuszek, wykarbowała włosy, wyperfumowała się i weszła do kuchni, zapytała Dorę po cichu:

— Czy pan Beinling jeszcze w domu?

— Ale gdzietam — odmruknęła służąca — wyszedł już przed godziną. Myślałam, że mi panienka przynajmniej poobiera jabłka na kompot!

— Jeszcze co, psuć sobie ręce obieraniem jabłek! — zawołała Cyla — a Dora od czego? Za cóż my płacimy i jeść dajemy?

To rzekłszy, wyszła z kuchni i zatrzasnęła drzwi.

— Próżniaczka! — syknęła Dora przez zęby — nie pozazdrościć temu mężowi, który się z nią ożeni! Chce teraz pewno pójść do markiza i dlatego się dowiadywała, czy Beinling jest w domu. Ale jak mnie kiedy rozłości, to ją zdradzę przed Beinlingiem!

Podczas gdy się Dora tak w duchu odgrażała, Cyla zapukała do drzwi salonu, a gdy jej markiz dał pozwolenie wejścia otworzyła drzwi i zapytała po francusku:

— Czy nie przeszkadzam panu markizowi?

— Wcale nie — odpowiedział markiz znudzony.

— Mam panu markizowi coś bardzo ważnego do powiedzenia! — rzekła Cyla, patrząc na de Lorma kokieteryjnym spojrzeniem, które się jednak odbiło o jego obojętność.

— Tak? — zapytał markiz, myśląc że chodzi o jakieś domowe zarządzenie.

— I liczę na wdzięczność pańską — odezwała się znów Cyla z uśmiechem.

— Sądzę, że się pani przeliczyła, panno Cylo — odparł markiz z bladym uśmiechem — gdyby pani wiedziała jak mi wszystko obojętne!

— Czy i Ida Steinert jest panu markizowi obojętna? — przerwała mu Cyla patrząc na niego badawczo.

— Ida! Czy ma pani doprawdy jakieś wiadomości o niej? — zawołał markiz jakby zelektryzowany. — Mów pani! Nie wystawiaj mnie pani dłużej na tortury swoim milczeniem, panno Cylo! Będę pani do grobu wdzięczny za jakiekolwiek wiadomości o pannie Idzie!

Wypowiedziane słowa okazywały dokładnie głęboką jego namiętność dla Idy.

Cyla aż zbladła ze złości. Nie mogła ona tego przeboleć, że się markiz nią nie zajął i myśl ta toczyła jak robak próżne jej serce. Byłaby mu teraz najchętniej odmówiła informacji, ale de Lorme dał jej jasno do zrozumienia, że ją suto wynagrodzi, a chciwość Cyli przemogła! Nie mogła się oprzeć pokusie! Chwilę jeszcze trwała walka między zazdrością a chęcią zysku. Wreszcie ta ostatnia zwyciężyła i Cyla przetłumaczyła markizowi dosłownie ogłoszenie adwokata Eisenharta.

— Daj mi pani adres adwokata — zawołał markiz. — Pójdę do niego natychmiast, aby się u niego bliższych szczegółów dowiedzieć. A teraz niech mi pani powie, coby sobie pani życzyła, panno Cylo, bo ja chciałbym pani z wdzięczności jakąś wielką radość sprawić.

— Ależ to nie wypada przyjmować prezentów od nieżonatego, młodego człowieka — ociągała się pozornie Cyla, paląc się w duchu do jakiegoś cennego podarku od markiza.

Przestraszyła się więc mocno, gdy markiz nic jej na to nie odpowiedział i dodała sama:

— Chociaż z drugiej strony, pan markiz jest tak zupełnie inny od swoich rodaków i tak nad swój wiek poważny, że nie byłoby zdaje mi się, ubliżającym przyjęcie od pana małej pamiątki: tak na przykład złoty łańcuszek z medalionem!

— Dobrze dostanie pani jedno i drugie! rzekł markiz — ale po chwili dodał, wyjąwszy z portmonetki 3 banknoty stuguldenowe: Albo jeszcze lepiej będzie, jak sobie pani ten łańcuszek sama według swego własnego gustu wybierze. Pozwoli sobie pani wręczyć małą sumkę na kupno!

Cyla uważała za stosowne odegrać znów małą komedię, udając, że nie wie, czy jej wypada przyjąć pieniądze, ale równocześnie zgarnęła banknoty i wsunęła je do kieszeni. Podziękowawszy markizowi, chciała się oddalić, ale ten zatrzymał ją, mówiąc:

— Musi mi pani zostawić adres adwokata Eisenharta.

— Ach, prawda — zawołała Cyla, która zapomniała zupełnie o adresie, bo tak była oszołomioną gratką, która jej się trafiła.

Podawszy markizowi kartkę z adresem, pożegnała się z uprzejmym uśmiechem i pobiegła szybko do matki, aby się zdobyczą swą pochwalić.

Pani Spiller załamała ręce ze zdziwienia.

— Trzysta reńskich dostałaś od barona za to, żeś mu te głupie ogłoszenie pokazała? — zawołała Spillerowa, nie wierząc swoim oczom. — On musi mieć pieniędzy jak śmieci, kiedy tak nimi szasta! Gdybym była wiedziała, że on taki bogaty, byłabym mu dwa razy tyle zaceniła za pokoje — i ręczę, że byłby się nie targował! Nigdy tego nie odżałuję, że byłam taka głupia i tak mało od niego żądałam!

— Ale co mama gada! oburzyła się Cyla — przecież markiz płaci i tak dwa razy tyle, niż inni przed nim za te pokoje płacili! Jeszcze więcej żądać, byłoby niemożliwe!

— Dlaczego nie? — irytowała się pani Spiller, której oczy świeciły się z chciwości. — Dlaczego by on nie miał cztery razy tyle płacić co inni? Ale wiem co zrobię! Od dzisiejszego dnia będę mu codziennie liczyła dwa guldeny za drobne wydatki. Ty zaś mu powiesz, że gospodarz podwyższył nam znacznie czynsz, i że ja dlatego muszę też swoim lokatorom podwyższyć.

— Jak mama markiza tak będzie wyzyskiwała, to on się wyprowadzi! — ostrzegała ją Cyla. — Nie trzeba struny przeciągać. Do czasu dzban wodę nosi!

— Okropnieś mądra! — szydziła pani Spiller. — Dla kogóż ja oszczędzam, jeśli nie dla ciebie? Powinnaś mi być wdzięcz-

(Ciąg dalszy na stronie 33)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

WIECZÓR MARLENY DIETRICH

Wy wszyscy, którzy w srebrne patrzycie ekrany
i tylko w kinach spotkać możecie się ze mną
myślicie, że sekretem jestem niezbadanym
niepokojącym czarem i zjawą tajemną.

Myślicie, że urzekam jednym mym uśmiechem,
gdy w białym, lśniącym fraku utkwię w kimś te oczy,
że me usta miłosne słodko pachną grzechem,
że pokusą potrafię zakląć i zamroczyć.

Nie wiecie, że gdy wreszcie jupitery zgasną,
gdy nie ma już Sternberga, krzyków i roboty —
wracam późno zmęczona w zwykłe życie „własne"
ja — tancerka z Maroko — „X dwadzieścia siedem".
„Motyl".
Wracam bez dekoracji, szminki i kostiumów
w moje troski, kłopoty i codzienne biedy
poprostu, jak wy wszyscy, tak, jak każdy z tłumu —
ja — tancerka z Marokko — „X dwadzieścia siedem".

A kiedy jestem w domu, w tym moim pokoju
i kiedy chcę na chwilę zapomnieć o smutku,
biorę dziecko na ręce, małą córkę moją,
dziewczynkę z pstrą kokardą, ciepłą i pulchniutką.

I całuję jej loki tak rzewnie i tkliwie,
jak żadnego pięknego, sławnego partnera
i jest mi bardzo dobrze i bardzo szczęśliwie,
gdy daję jej kolację i gdy ją rozbieram.

A ona mówi do mnie jak nikt inny: mama
i drepce koło łóżka najdroższa i bosa.
I wtedy to naprawdę jestem taka sama,
jak na filmie nazwanym „Wenus Złotowłosa".

A. E.

POZDROWIENIA Z KRYNICY

„Kwiat Paproci". Spędziła Pani dwa okrągłe miesiące w Krynicy!? Ach, wyobrażam sobie, ile serdecznych, ale równocześnie smutnych westchnień wyrwie się po przeczytaniu tego zdania z piersi tych, którzy radziby spędzić pewien okres w górach. Absolutnie nie dziwię się temu, bo i mnie podobne westchnienie wydarło się, na pociechę jednak powiem i sobie i tym, których zabolało na chwilę serduszko, że „Kwiat Paproci" przesyła nam z cudnej „Krynicy" bardzo dużo miłych pozdrowień. Poza tym dostało się jeszcze coś specjalnie od „Kwiatu Paproci" „Marylce z nad Warty", mianowicie:

„Marylko, proszę wybaczyć, że nie pisałam — byłam chora".

Aha i jeszcze coś dla kogoś „Nieznanego", ale mającego zapewnie jakikolwiek kontakt z „Krainą":

„Z. M. P. Od lipca nie pracuję. Górami jestem zachwycona. Bardzo ucieszyłam się, gdy spadł pierwszy śnieg, gdyż jazda saniami była wspaniała. Tak mi żal wyjeżdżać stąd, ale pocieszam się, że wreszcie zobaczę Poznań".

Na zakończenie przesyłam dla „Kwiatu Paproci" silny uścisk dłoni, jako podziękę za pamięć o „Krainie" i życzę — aby już teraz ze zdrowiem było zawsze dobrze!

WIEM DOBRZE...

„Smutna Iwonka". Liścik Twój sprawił mi niewymowną przyjemność. Kto tak, jak Ty umie odczuwać urok przyrody i jeszcze do tego odpowiednio przelać na papier, ten musi być człowiekiem, którego tylko pokochać można. Wiem dobrze, co znaczy samotność, kiedy brak kogoś bliskiego, ktoby umiał odczuć wszystko tak samo, jak my. Zazdroszczę Ci szczerze, że jako osłodę swej samotności posiadasz przynajmniej wokół siebie cały przepych krajobrazu zimowego.

Wspominasz w swym liście urok czasów szkolnych. Dobre to były czasy. Nigdy wówczas nie odczuwało się samotności. Jedynym przeważnie zmartwieniem była może obawa otrzymania złego stopnia.

Lecz trudno. Z czasem człowiek poważnieje i jego horyzont myślowy rozszerza się. Potrzeba nam innych bodźców do zachowania równowagi i pogody ducha. I zupełnie słusznie piszesz, że idealnym rozwiązaniem zagadnienia Twych przeżyć wewnętrznych, byłoby znalezienie jakiejś bratniej duszy. Masz więc szczerą chęć nawiązania łączności z jedną z naszych Sympatyczek, najchętniej z taką, która uczęszczała do gimnazjum.

O ile znam Was, kochane moje Sympatyczki, to prośba „Smutnej Iwonki" nie pozostanie bez echa. Mam tę silną nadzieję, że już w następnym numerze znajdziesz moc pozdrowień dla siebie, a u mnie na biurku na pewno znajdzie się miły liścik dla Ciebie.

A teraz Twoje komunikaty:

„Czarodziejko"! Za wierszyk bardzo, bardzo dziękuję.

„Słodka Danuś", smuci mnie Twoje milczenie.

„Bella Donna" za miłe pozdrowienia dziękuję i szczerze się odwzajemniam. Może jeszcze do mnie napiszesz? Odpowiem na pewno.

„Milutka Leno", pozdrawiam Cię.

„Przedwiośnie" i „Feniu z nad jezior", przyjmijcie szczere uściski i gorącą prośbę o liściki.

Panie St. Rybicki z Boguszyc, dlaczego Pan milczy? Pisałam pod podanym adresem. Czyżby uległ zmianie? Czekam.

Moc pozdrowień dla całej krainy z kochaną p. Zosieńką i Wujkiem Januszem na czele!



Któżby przypuszczał, że na powyższym zdjęciu, to „Smutna i Brzydka Irka". Bo... nie jest ona ani smutna, ani brzydka i kto wie, sądząc z ubioru, czy to nie jakiś „Irek" zamiast „Irka?" Jak się Wam wydaje, Drodzy „Krainiacy"?

W SZEREGACH SPĘDZASZ ŚWIĘTA?

„Mały Staś". Miły Przyjacielu! Jesteś chyba obecnie w wojsku i tam spędzasz święta Bożego Narodzenia — posyłam Ci raźny uśmiech i dużo dobrych słów. Niech Boża Dziecina błogosławi Ci w żołnierskim trudzie!

PROSIMY O PODANIE ADRESU

Pan Eustachy Ścibor - Rylski ma w naszej redakcji list — prosimy o podanie dokładnego adresu.

NIECH UŚMIECH WPŁYNIE NA TWARZ...

„Lan - Cheng". Życzeniu, co do zmiany pseudonimu, uczyniłam, jak Pani widzi, zadość.

Zwraca się Pani do mnie w sprawie, której podobnych mam bardzo dużo. Rozumiem zupełnie Pani ból. Zawód, który Panią spotkał może niekiedy zniechęcić do życia. Lecz nigdy nie powinniśmy się temu uczuciu oddawać bez reszty. Przecież życie i świat nas otaczający ma tyle innych powabów, wśród których na pewno znajdzie się coś, co mogłoby Panią zainteresować. Musi Pani koniecznie znaleźć sobie inną sferę zainteresowań. Nie mogę w tej chwili podawać czegoś konkretnego, gdyż zbyt nie chciałabym trafić źle Lecz jeszcze raz powtarzam: głowa do góry, uśmiech niech wpłynie na twarz, a odrobina silnej woli zrobi resztę.

Ten, który Pani wyrządził tak wielką krzywdę, może jest dobrym człowiekiem, lecz słabego charakteru. Musi Pani usunąć go z serca i myśli. O, jakże chciałabym znaleźć się w tej chwili przy Pani, przytulić mocno do siebie i delikatnie wyjąć z serca ten cierń, który tam kłuje. A wie Pani, czym bym to zrobiła? Bardzo prosta odpowiedź: jednym uśmiechem, uśmiechem, który musiałby znaleźć oddźwięk na Pani twarzyczce.

Lecz ponieważ urzeczywistnienie tego pozostanie w krainie marzeń, więc tylko na odległość podam Pani hasło, które powinno stać się Jej dewizą na całe życie: Keep smiling — uśmiechnij się!

Uśmiech wpłynął na twarz! Prawda! A teraz czym prędzej do pracy, do zajęcia się czym innym.

Pozdrawiam serdecznie i przypuszczam, że następny liścik od Pani przyniesie mi dużo ciekawych wiadomości o nowych zainteresowaniach Pani.

A teraz komunikaty:

„Bajkał". Nie zapomnę nigdy... i kochaj mnie zawsze.

„Róża Południa!" Ślę serdeczne pozdrowienia. Znam Panią z opowiadania „Bajkału".

Pozdrawiam serdecznie p. Zofię i całą „Krainkę".

WIERZĘ...

„Uśmiechnięta Szatynka". W długie, zimowe wieczory trudno nieraz zająć czymś ręce, więc nie dziwię się, że wróciła Pani znowu do korespondencji ze mną i „Krainiakami". Wierzę, że to opłaci się Pani, bo wieści z dalekiego świata zawsze stanowią pewną wartość dla tych, którzy są zmuszeni żyć na odludziu i prócz radia nie posiadają żadnych innych rozrywek. To, co mi Pani podała na drugiej stronie listu, zamieszczam niżej, przed tym zaś pozdrawiam Panią serdecznie i życzę Jej nowych licznych wrażeń z nawiązanej korespondencji.

„Panu Czekalskiemu oraz Panu Baranowskiemu, ślę słowa uznania za piękne wiersze.

P. T. M.! Bardzo podoba mi się wiersz Pana p. t. „Komu się zwierzyć?" Jeżeli poświęci mi Pan kiedyś chociaż maleńki wierszyk — zrewanżuję się za niego miłym zdjęciem.

„Smutna G.", proszę, napisz do mnie. Jak najserdeczniej pozdrawiam!

„S. p. l. Sydney", dlaczego nie otrzymuję odpowiedzi na mój list? Proszę podjąć go, czeka na poczcie. Czy Pan domyśla się kim jestem? Serdecznie pozdrawiam!"

ZAŁATWIŁAM...

„Reveiers". Nie mam Panu za złe, że nie piszesz regularnie, przecież wiem, iż nie zawsze ma się czas i sposobność do dłuższych i częstych rozmów — więc nie winię z tej racji.

Sprawę przesyłania „Moich Powieści" załatwiłam Ci w naszej administracji.

Uśmiałam się serdecznie z Pana określenia, że tam na Waszym Helu z nudów można „dostać rogów" — no, może, skoro teraz nie ma sezonu kąpielowego, ale przecież jednak nie pozwoli Pan, aby te rogi wyrosły — prawda? Zresztą spodziewam się, że „Krainiacy" przypomną sobie Pana i postarają się trochę rozproszyć te nudy. Życzę Panu tego i zamieszczam Jego dopisek dla „Krainy":

„Kochana „Rodzinko" — nie gniewaj się na mnie, który jestem całą duszą przy Tobie. Choć dotąd ukradkiem tylko mogłem śledzić rozwój kochanej Rodziny, jako że nie zawsze udawało mi się kupić w kiosku naszą gazetkę.

Zapytuję, co robi „Złote Słoneczko"? List, który otrzymałem ucieszył mnie ogromnie, ale cóż, kiedy nie znam obecnego adresu! Proszę o takowy!

„Czarująca Nino!" Proszę dać jakiś znak, bo pukam i pukam, a dopukać się nie mogę! Może czym zawiniłem, to bardzo przepraszam!

„Elżunia spod Chełmna" — czy list z poste - restante odebrała Pani, bo ja żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Pozdrawiam serdecznie „Mignon", „Ninette", „Kujawiankę", „Minkę", „Zmienną", „Dzikuskę", „Baśkę spod Koła", „Urszulkę spod Grudziądza" i wszystkich, wszystkich „Krainiaków!"

W ODPOWIEDZI

„Czarny Hajduczek" przesyła w odpowiedzi P. Józefowi Baranowskiemu, co następuje:

„Jestem w Poznaniu i oczywiście, że można napisać do mnie na poste - restante, Poznań 1. Odpowiem na pewno! Może to Pan zakomunikować temu „Komuś". Ciekawam?... Pozdrowienia!"

BAL MASKOWY

Mojej sympatii z Warszawy.

W noc wczorajszą, noc szału, noc snów, marzeń, tęsknoty
W pięknych salach „Astorii" bawiono się wspaniale:
Dwie orkiestry na zmianę grały tanga, fox-trotty,
Przy bufecie wołano: „Tańcz, pij, śmiej się i szalej!"

Roztańczyły się pary pełne szczęścia, swobody
I tuliły do siebie w romantycznym pół-mroku...
Za ponsową kotarą — maharadża stał młody,
Kokietując Japonkę, pełną wdzięku, uroku...

W pierwszej loży na prawo siedział pierot bielutki,
Z czarnym, dużym pieprzykiem, zabawiając słówkami
Colombinę - tancerkę, o uśmiechu milutkim...
Oczy mieli zakryte jedwabnymi maskami...

W morzu świateł, kolorów — wyglądali bajecznie!...
Byli cudni! Tak cudni, jak miłosne marzenia!...
Nie przeszkadzał im nikt, nikt. W loży było bezpiecznie..
Upajały ich słowa, czułe szepty, westchnienia...

Zazdrościłem im bardzo tego, że się kochali,
Że cieszyli się życiem i uczuciem tak szczerym,
Że łez, cierpień, przykrości i tęsknoty nie znali...
Patrząc na nich wciąż — piłem czarną kawę z likierem...

Jam w kostiumie cygana, z czarną maską na oczach,
Siedział smutny... Wszyscy mi byli obcy, nieznani...
Choć niejedna dziewczynka była miła, urocza,
Stale tylko myślałem o Warszawie i Pani!...

Nie czekałem do rana, aż bal był już skończony,
Wziąłem palto i chociaż w oczach mi się dwoiło,
Zły wybiegłem na miasto... Kląłem wściekły, szalony...
A wie Pani dlaczego? Bo tam Pani nie było!...

Mieczysław Grzegorski.

ODPOWIADAJMY ZAWSZE NA LISTY!

„Zadumana Dusia". Dobrze, „Dusiu", zaapeluję do „Krainiaków", aby zechcieli nawiązać z Tobą korespondencję! W pierwszym rzędzie zwracam się do „Samiuteńkiej", bo widzę z listu, że Nią najwięcej zainteresowałaś się — cóż „Samiuteńko", czy napiszesz do „Dusi"? Tak sądzę, bo przecież brak Ci oddanego serduszka, które niewątpliwie w „Dusi" znajdziesz.

Poza tym — uwaga „Zrównoważony Jasiu"! — czy Pan odebrał list od „Zadumanej Dusi"? Jeżeli tak, przypuszczam, że nie będzie Pan dłużej zwlekał z odpowiedzią, bo chyba z własnego doświadczenia Pan wie, jak to nieprzyjemnie czekać na list od kogoś i w dodatku czekać daremnie.

Acha! Jeszcze coś: „Uśmiechnięta Wandulko" przeczytaj sobie, proszę, kilka powyższych wierszy, skierowanych pod adresem „Zrównoważonego Jasia" i następnie zrób sobie maleńki rachunek sumienia, względnie przypomnij sobie, czy pewna milutka dziewczynka, nie czeka na liścik od Ciebie. Czy dobrze, „Wandulko"?

Halo! „Samotny Mieszczuchu"! — czy wiesz, kto Ci śle pozdrowienia? — „Zadumana Dusia"

CZY DOBRZE?

„Iste Wenus". Jak wyglądają strony, w których ujrzała Pani światło dzienne? Otóż są bardzo piękne. Mają śliczne jeziora i wzniesienia, które tworzą nadzwyczaj malownicze krajobrazy. Szczególnie w porze wiosennej. Radziłabym Pani wybrać się kiedyś w te strony i przy tej okazji zwiedzić słynne wykopaliska biskupińskie, a na zakończenie zjawić się w naszej redakcji. Czy dobrze? Proszę chwilę pomyśleć nad moim projektem, potem napisać do mnie jeszcze raz. Zakończenie listu zamieszczam w całości:

„Dobra Mizi", odwzajemniam Twoje pozdrowienia i mocno całuję buzię. „Biała Ujali" — uśmiechnij się! A Ty, „Baronie Cygański", zgadnij kto Cię pozdrawia „Red!" Gorące uznanie za wierszyk „Pod wrażeniem".

CZEKAM!

„Tartuk". List przesłałam. Czy korespondencja sprawia Panu radość? Czekam na dłuższy list, a pozdrowienia odwzajemniam!

DLACZEGO?

„Biała Ujali". Za uśmiechy słońca" — bardzo, bardzo dziękuję, tylko dlaczego — „ostatnie"?

„TE - EM" MA W REDAKCJI LIST

„Te - Em" ma w redakcji wiadomości od kogoś bardzo miłego i wesołego. Proszę o szybkie nadesłanie adresu!

JAKŻE MI PRZYKRO!...

„Rusałka", jesteś śliczną dziewczynką, „Rusałko", jak widzę z fotografii. Taką prawdziwą rusałką o subtelnej, miłej buzi. Jakże mi przykro, że zdjęcia nie mogę zamieścić w „Krainie", niewątpliwie podobałoby się ono wszystkim. A może nadeślesz mi inną fotografię — większą i wyraźniejszą? Czekam, a tymczasem zamieszczam Twoje komunikaty:

„Halo! Tu „Rusałka"! Zasyła pozdrowienia „Smutnej Rusałce" i równocześnie prośbę o list. „Czarodziejko", chciałabym z Tobą korespondować. „Leśnej Rusałce" zasyłam szczery uścisk dłoni".

DZIĘKUJĘ!

„Czarodziejka". Dziękuję za pocztówkę pełną dobrych, ciepłych słów! Pamiętam zawsze i myślę również serdecznie!

NIECH ZANIOSĄ DO CIEBIE!...

„Paganini z Pałuk". Tak pisze do nas:

„Nieznana „Biała Różyczko"! — Prosisz o kilka słów — jakże nie usłyszeć głosu serca pięknego kwiatka?

Kwitniesz, „Biała Różyczko", na pewno daleko, zasłonięta dzikim liściem olbrzymiego kaktusa i dlatego pragniesz słońca i wody. Pragniesz słońca i wody! Pragniesz tego, co życie nam uszlachetnia, tego, co daje nam szczęście tu na ziemi — rozumiem Cię! Odzywam się zdala za pomocą mych cudownych strun — niechże zaniosą do Ciebie dźwięk radości i szczęścia.

Osobne pozdrowienia ślę dla wszystkich „Krainiaków" i proszę o pamięć!

Teczka Wujka Janusza

MAM JEDNO CICHE ŻYCZENIE...

„Przedwiośnie". Mało powiedzieć, że list P. wzruszył mnie, skoro na to wzruszenie złożyło się dziesiątki różnych uczuć. I skąd się wzięłaś, Ty, Mała Czarodziejko, która każdym zdaniem listu potrącasz o najczulsze struny duszy? Wiesz, jest mi tak miło, tak bardzo miło, że nawiązałaś kontakt z moją „Teczką" i ślesz mi te piękne, owiane nutą poezji, listy.

„Dlaczego, Boże, dałeś mi ukochać wyże i słońce, bym teraz została jak ptak, zbłąkany wśród nocy?" — pytasz już nie ludzi, ale samego Boga. Słuchaj uważnie, a Bóg Ci i na to odpowie. Jesteś przecież złotą, jasną gwiazdą, wśród tej nocy, czyż to już nie wiele? Pomyśl nad tym również głęboko, jak myślisz głęboko nad innymi sprawami.

Na Gwiazdkę mam jedno ciche życzenie: aby „Przedwiośnie" pisało do mnie nadal te cudne, kochane liściki.

Cóż pisać o życiu i jego wrażeniach,
O męce duszy, marzącej o szczęściu,
Kiedy nurt jego płynie po kamieniach.
I wciąż niezmiennie myśli o „odejściu".

WIERSZYK DLA „MAŁEJ KONWALIJKI"

Szukałam czegoś, co nazwy swej nie ma,
Coby mi uśmiech, słoneczny i ciepły
Na twarz przywiodło, i swymi ręk oma
Uścisk serdeczny oddało, nieskrzepły.

Ale odszukać nie było mi danym,
Bo ta wędrówka kresu mieć nie może.
I ciągle staje przed Nowym, Nieznanym
I tajemnicy istnień nie odtworzę.

Dlatego kiedyś, gdy te słowa wrócą
Przed oczy Twoje mimo woli wzięte
I treść przebrzmiałą, jak zarzewie rzucą,
Rozniecą myśli, w głosy już skrzepnięte,
Niech jedna ta powstanie i jak dzwon
żałobny
Przywiedzie wiersz serdeczny, skromny
niewymownie:

Był ktoś, kto pragnął radości i słońca
Dla dusz pokrewnych, tkwiących w ciągłej
męce,
Dlatego dzisiaj, jak kartkę przez gońca,
Uśmiech serdeczny, promienny ślę Sieńce.

„Przedwiośnie".

CÓŻ TERAZ?...

„Czarodziejka". To nie to, że zebrało mi się dzisiaj na zrzędzenie, ale poprostu tak się złożyło, że wszystkie wierszyki, które przede mną leżą, są słabo opracowane. Widocznie winien temu śnieg, albo też nadchodzące święta, które tak zaabsorbowały główki poetów „Krainy", że Ci zamiast o rytmie, myśleli o Gwiazdorze. No i rytm wypadł bardzo blado. Cóż teraz? Myślę, że trzeba będzie poprawić się, zwłaszcza, że Święta będą już w krótce za pasem, a śnieg już trochę spowszednieje. Z nadzieją, że tak będzie, ściskam, Drogiej „Czarodziejce", rączęta i życzę Jej, aby Gwiazdka właśnie taką była, jak ją sobie w okresie przedświątecznym słodko wymarzyła.

ZŁA DOLA

Za oknami — wiatr zimowy
Złą melodię gra — —
Dysząc ciężko — w mrok żałobny —
Jak szalony gna!
Za oknami — deszcz zacina
Sznurkiem srebrnych łez — —
A wiatr smutek rozprzestrzenia,
Aż po świata kres.
Za oknami — rozhukana
Wciąż przed siebie gna — —
Z wiatrem niknie — — rozpłakana —
Czarna — dola zła!

„Czarodziejka".

FORMA JESZCZE NIE OPANOWANA

„Henry". Zapewne przykro będzie Panu, gdy oznajmię Mu, że z nadesłanych nowel wybrałem do druku tylko jedną — „Na podniebnym szlaku". Reszta wydaje mi się jeszcze nieopanowaną w formie. Co mi się podoba w utworach Pana, to pomysły. Sypie Pan nimi, jak z rogu obfitości i dlatego nowele Pana czyta się z zaciekawieniem. Jeżeli Pan ustabilizuje wreszcie jakoś swój styl, to pewny jestem, że nowele Pana będą ukazywały się często w „Moich Powieściach" i będzie się je czytało z prawdziwym zadowoleniem. Pragnę doczekać jak najprędzej tej chwili!

PISUJ DALEJ...

P. Helena J. Wyobrażam sobie zupełnie, jak to tam nieraz jest w „zaklętym młynie". W jednym z okien pali się długo wieczorami światło, bo młodziutka panienka haftuje pilnie piękny sztandar, który później będą nosiły dziewczyny w procesjach kościelnych. Czasem znów panienka pisze wierszyki. Z cichutkich myśli splata rymy i potem posyła je w świat, t. zn. do mojej „Teczki". Odczytuję najczęściej z wzruszeniem te milutkie, surowe jeszcze wierszyki i choć na odległość uśmiecham się rzewnie do panienki z „zaklętego młyna". Pisuj dalej, Kochana Sympatyczko, te swoje proste zwrotki, bo wierzę, że tworzenie ich sprawią Ci dużo zadowolenia, podobnie, jak mnie przynosi dużo zadowolenia odczytywanie ich. Za pozdrowienia — bardzo Ci dziękuję i mocno ściskam pracowite rączki.

CHĘTNIE PRZEJRZĘ INNE PRACE...

P. A. J. z P. Na temat noweli Pana mogę powiedzieć to samo, co powiedziałem w dzisiejszym numerze jednemu z moich Sympatyków, mianowicie „Te - Em". Może nadeśle mi Pan swoje inne prace? Chętnie przejrzę i wybiorę coś odpowiedniego do druku. Ślę P. jak najserdeczniejsze pozdrowienia i czekam!

WIERSZYK, DLATEGO, ŻE DOWCIPNY, POSZEDŁ DO DRUKU

„Rita Rerner". Dowcipny wierszyk Pani, tylko dlatego, że dowcipny dostał się do mojej „Teczki" i stąd od razu poszedł na łamy „Moich Powieści". Proszę o dalszą pamięć!

TRZEBABY SERCE, JAK AUTOBUS MIEĆ...

Panu Ryszardowi Kierczyńskiemu, aktorowi Teatru Miejskiego w Bydgoszczy poświęca

autorka.

Jesteś szlachetny, znasz trud życia i znój,
Kocha się w Tobie kobiet pięknych rój,
Od najmłodszej do najstarszej statystki —
Kochają się w Tobie wszystkie artystki.

Cieszy się Hala, Janka, Bronka, Stacha,
Nawet ta maleńka Jadziunia płocha,
Ogromnie wszystkie się cieszą, gdy Cię widzą
I równocześnie jedna z drugiej szydzą.

Jesteś wstrętna — idź! ja Tobą się brzydzę!
Kłamiesz! on na mnie patrzy — ja to widzę!
Kłótnia.... tylko Dziunia w kącie szlocha,
Bo ona tak bardzo, bardzo się kocha

Gdy człowiek jest zły — jest bardzo nie
ładnie,
Gdy jest szlachetny i żyje przykładnie,
Znów kłopot z babami... kochać wszystkie
chcieć
Trzeba doprawdy serce — jak autobus mieć.

„Rita Rerner".

Raj kobiet

Specjały chińskiej kuchni

Do serii błędnych wyobrażeń o Chińczykach dochodzi dość rozpowszechniony w Europie pogląd, że specjałem kuchni chińskiej są nieświeże jaja. Nic fałszywszego nad takie mniemanie, które powstało stąd, że Chińczycy spożywają jaja specjalnie konserwowane. Chińczycy odznaczają się specjalną wrażliwości na punkcie świeżości jaj. Ponieważ produkcja jaj w Chinach przekracza wielokrotnie zapotrzebowanie własnego rynku, przerabia się nadmiar jaj, gromadzony w specjalnych składnicach, na proszek, zużywany w piekarniach i cukierniach do wyrobu ciastek. W fabrykach, produkujących proszek z jaj, znajduje zatrudnienie kilka tysięcy dziewcząt chińskich, których zadaniem jest rozbijanie jaj i badanie powonieniem ich świeżości. Jedna dziewczyna rozbija i bada w ciągu dnia około 1.600 jaj. Nieświeże jaja, odznaczające się bodaj najlżejszym zapachem, są usuwane, reszta zaś wędruje do specjalnych olbrzymich kadzi, gdzie ulega wysuszeniu i przeróbce na proszek, stanowiący ważny artykuł eksportowy. Głównym centrum tego przemysłu jest Szanghaj, gdzie przerabia się dziennie około 5 milionów jaj.

Najczulszym powonieniem odznaczają się tak zwane kontrolerki, których zadaniem jest badanie zawartości kadzi. Kontrolerka potrafi z setek jaj, rozbitych w kadzi, wywąchać nieświeże i w ostatniej chwili usunąć je z masy przeznaczonej na sproszkowanie.

DOBRA GOSPODYNI

Faworki. 40 dkg mąki, 2 i pół deka masła 5 dkg cukru, 12 jaj, łyżka mleka i kieliszek araku. Do posypywania: cukier, zmieszany z cukrem waniliowym.

Sposób przyrządzania: Dobrze wymieszać powyższe składniki, zagniatając z masą 8 żółtek i 4 całe jaja, ubite na pianę na stolnicy i jak najcieniej wałkując. Krajać kółkiem od pierożków na długie ukośne paski i rzucać na wrzący smalec natychmiast po wywałkowaniu. W czasie smażenia dokładać ciągle świeżego smalcu, aby się nie przypalił i pilnować, aby ogień nie był zbyt wielki, lecz ciągle równy. Wyjmując widelcem zaraz posypywać cukrem, zmieszanym z cukrem waniliowym, bo gdy wystygną, cukier nie przylgnie.

Wyborne pączki parzone. 120 deka mąki, 3/4 l. mleka, 15 jaj, 20 deka cukru, 10 deka masła, kieliszek araku, paczka proszku do pieczenia i paczka cukru waniliowego.

Sposób przyrządzenia: 40 deka mąki zaparzyć pół litrem mleka, a gdy ostygnie, rozrobić z 15 żółtkami, cukrem i masłem. Oddzielnie zmieszać paczkę proszku do pieczenia z 80 deka mąki, przesiać do rozcieńczonej powyższej masy za pomocą pół litra mleka, dodać 10 białek z jaj, ubitych na pianę i wszystko dobrze wyrobić, na koniec mieszając dolać kieliszek araku. Ciasto wyrobione nie wałkuje się, lecz wyrzuca na stolnicę i wyciąga na plaster. W pewnych odstępach układa się kępki powideł lub konfitur i pokrywa warstwą ciasta. Za pomocą szklaneczki od piwa wycina się krążki, bacząc, aby powidła lub konfitury nie wystawały na zewnątrz i smaży w głębokim rondlu w smalcu gorącym na niewielkim ogniu. Podczas smażenia należy pączki przewracać widelcem, aby z obu stron się zarumieniły. Wyjmuje się łyżką durszlakową na półmisek i zaraz posypuje cukrem, zmieszanym z cukrem waniliowym.

Pączki zwykłe. 6 deka cukru, 12 i pół deka masła, 4 jajka, 50 deka mąki, 1 paczka proszku do pieczenia.

Sposób przyrządzania: Do wypieku używa się smalec, lub też smalec zmieszany z równą ilością tłuszczu roślinnego. Masło miesza się z cukrem na pianę, dodaje jajka, mąkę zmieszaną z proszkiem do pieczenia i w razie potrzeby jeszcze tyle mleka, ile potrzeba do dobrego zmieszania całej masy. Kieliszkiem wycina się krążki, które piecze się następnie w tłuszczu, próbując patyczkiem, czy juz dostatecznie się wypiekły. Po wyjęciu obsypuje się cukrem. Do zrobienia nadziania wałkuje się ciasto cieniej wycina w ten sam sposób plasterki, kładzie nadzianie i przylepia drugim plasterkiem. Dalsze postępowanie niczym nie różni się od poprzednio podanego.

Ze świata

Nadawcza stacja radiowa w głębinach morskich

Inżynierowie amerykańscy dokonali ciekawej próby transmisji radiowej z zanurzonej łodzi podwodnej. Głosy oficerów załogi były doskonale słyszane w miejscowości Nowym Londynie. Dotychczasowe próby łączności drogą radiową z łodzi podwodnej, odbywały się w ten sposób, że zanurzona łódź połączona była kablem telefonicznym ze statkiem na powierzchni, który przesyłał dalej głos przez radio. Tym razem zaś cała radiostacja nadawcza umieszczona była w głębinach morskich.

Zegarki lecące z nieba

Jedna z fabryk zegarków przeprowadziła w sposób oryginalny próbę wytrzymałości wyrabianych przez siebie zegarków. Z lotniska wzniósł się samolot, z którego po osiągnięciu 400-tu metrów zrzucono kilka zegarków. Zegarki wyszły z tej próby zwycięsko, idąc dalei regularnie i nie ulegając uszkodzeniu.

Psy-arystokrac

Tak pospolite obecnie pekińczyki, które się widuje na ulicach każdego niemal miasta Europy, dawniej były niezmiernie rzadkimi okazami. Rasa ta wytworzona została przypadkiem przed kilkuset laty w Chinach i wywołała wielki zachwyt ówczesnego cesarza Timu-ri. Cesarz ofiarował parę tych pokracznych pie-



J 93 053 Praktyczny i ładny komplet, składający się z sukienki i płaszcza; przybranie płaszczyka stanowi materiał w kolorze desenia, sukienka zaś ozdobiona jest silami. Potrzeba około 3,85 m mater. szer. 130 cm.

J 99 038 Zimowy płaszcz z tweedu, skromny, lecz elegancki; rewersy i kołnierz z futra. Potrzeba około 3.20 m tweedu, szer. 130 cm.

J 99 017 Bardzo modny płaszczyk z czarnej wełny, obszyty futrem. Mufka wykonana z tego samego materiału, co płaszcz i ozdobiona pasami futra. Potrzeba około 3,60 m mat. szer. 130 cm.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1.90 zł.

sków swej małżonce, a pozostałe kazał zabić, by nikt poza nim nie miał podobnego okazu. Odtąd pekińczyki stanowiły wyłączną własność cesarzy chińskich. Ilość ich na dworze nie mogła przekraczać sześciu, to też resztę szczeniąt ofiarowywano bogom i palono.

Przed kilkudziesięciu laty cesarzowa chińska ofiarowała parę pekińczyków małżonce pewnego dyplomaty amerykańskiego i tą drogą rasa ta rozpowszechniła się w Anglii, a stamtąd po szerokim świecie.

Obecnie pekińczyki tak się rozmnożyły, że zaczęły już wychodzić z mody. Miejsce ich zaczynają zajmować oryginalne odmiany terrierów.

Kula rewolwerowa uzdrowiła pacjenta

Dr. George L. Johnson, zarządca Weterańskiej Administracji w Tuscaloosa, Ala. wyjawia niezwykły wypadek, gdy kula w mózgu doprowadziła do równowagi chorego człowieka. Pewien weteran wojny światowej, lat 43, kaleka z powodu choroby kości, będąc zdenerwowanym przed pięciu laty strzelił do siebie. Kula utkwiła w mózgu, ale weteran nie umarł i przez pięć lat już żyje w zupełnie dobrym zdrowiu. Obecnie jest zupełnie normalny umysłowo i przestał się martwić.

Człowiek, który ciągle marznie

W Sztokholmie mieszka człowiek, któremu jest zawsze zimno i który nawet w lecie nosi futro. Oryginał ten nazywa się Peter Andersen. Lekarze, którzy go badali twierdzą, że ma organizm najzupełniej normalny i że noszenie futra w czasie upałów, jest spowodowane rodzajem manii, która sprawia, że Andersen chce wyróżnić się od otoczenia i zwracać na siebie uwagę.

W lecie w bież. roku, Andersen pojechał do Amsterdamu, aby odwiedzić siostrę, która tam mieszka. Pomimo upału wybrał się w futrze i oczywiście tak w podróży, jak i w Amsterdamie był przedmiotem ogólnego zaciekawienia. Któregoś dnia poszedł na spacer ubrany w futro z podniesionym kołnierzem. Zwróciło to uwagę policjanta, który przypuszczał że ma do czynienia z wariatem. Andersen został zaprowadzony do komisariatu i wypuszczony dopiero po skomunikowaniu się telefonicznym komisarza policji z siostrą Andersona.



„Złotowłosy brzdąc" — Schirley Temple — zabawia się w rekruta...

Ostatni Mohikanin jeleniego rodu

W tych dniach padł ofiarą wypadku samochodowego ostatni jeleń Lasku Bulońskiego, świadek dawnego romantycznego Paryża. Park był miejscem najmilszych wycieczek mieszkańców stolicy. Niegdyś na jego terenie urządzane były wspaniałe królewskie łowy, później jednak już za republiki dawny teren myśliwski został wydzielony i zamieniony na park wielkomiejski.

Przejechany jeleń był właściwie symbolem dawnej przeszłości. W ostatnich latach samochody były zgubą dla jeleni i sarn żyjących w parku. Oślepiane blaskiem reflektorów i oswojone zwierzęta wpadały wprost pod koła, ponosząc śmierć. Aby je przed tym uchronić, wyłapano ostatnio 20 sztuk i przeniesiono do ogrodu Vincennes. Jeden tylko jeleń ukrył się przed obławą i żył samotnie w gęstwinie Lasku Bulońskiego. Las sprawił, że oszczędzony od kuli myśliwego, padł ofiarą automobilisty.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Chłopiec z gazety

NOWELA

(Dokończenie.)

Młoda dziewczyna już naprzód wiedziała, co jej przygodny towarzysz będzie opowiadał, ale nic nie odpowiedziała, gdyż radość rozpierała jej piersi a ciekawość wyrażania się młodego mężczyzny — zdusiła kobiecą chęć wypowiedzenia wszystkiego naprzód. —

— Otóż — proszę pani — przyjechałem tutaj i najgorsze, że sam nie wiem dokładnie do kogo. Zacznę jednak od początku.

— Ale przed tym pozwoli pani, że jej się przedstawię. Jestem Jerzy Czarski, dziennikarz z zawodu.

Przez ciało młodej kobiety przebiegł radosny skurcz — tak, że bąknęła tylko coś pod nosem i udała wielce zasłuchaną, czego towarzyszący jej mężczyzna nie zauważył i ciągnął spokojnie dalej swoje opowiadanie.

Pewnego czasu jedno z czasopism zmieściło moją fotografię i wkrótce potem dostałem pod adresem tejże redakcji parę listów od miłych, no i śmiałych przede wszystkim, czytelniczek.

Jeden z nich mnie szczególnie zainteresował, choć wprawdzie nie był podpisany imieniem i nazwiskiem, lecz jakimś rebusowym „pseudo".

Mając właśnie wakacje i korzystając z wolnego czasu, odpisałem na wszystkie listy, a już szczególnie starannie na ten ostatni.

Po pewnym czasie otrzymałem znowu wiadomość listowną, w którym to liście tajemnicza nieznajoma podała coś o sobie — zaznaczając, że jest prawdopodobnie zgrabna i piękna dziewczyna — według opinii innych — zaś sama może tylko powiedzieć, że jest trochę miła — i... że mnie chce poznać osobiście, gdyż (ku memu wielkiemu zdziwieniu) pokochała mnie... widząc tylko na zdjęciu w gazecie.

I niech pani sobie wyobrazi, że korespondencja taka między nami trwa już od przeszło pół roku i będąc wielce zainteresowany i zaintrygowany równocześnie, postanowiłem za wszelką cenę odkryć incognito romantycznej korespondentki.

— Ale ja pani opowiadam to — tak, jakbyśmy znajdowali się conajmniej w stolicy, kiedy tymczasem pani tu mieszka i może znać przypadkiem się... rzucił nagle urwiszowsko młody mężczyzna, nie dokończywszy zdania, po trząsając komicznie ręką.

Jerzy Czarski mówił jednakże wszystko celowo, gdyż w ten sposób chciał dyskretnie poczynić wywiad i odnaleźć swoją korespondentkę...

— Może pan być najzupełniej spokojny — rzuciła Zofia, uśmiechając się. — Nie powiem nikomu ani słówka.

— No, jeśli moja sympatyczka będzie tak urocza — jak pani, to wcale nie pożałuję podróży... — rzekł szczerze Czarski, będąc zachwycony urodą Zofii, któremu serce bić żywiej zaczynało, kiedy spoglądał na jej zgrabną sylwetkę i pełną niewysłowionego czaru twarzyczkę.

Jerzy Czarski odpiął płaszcz, strzepnął z niego bielusieńki śnieg, który wciąż jeszcze opadał i starym zwyczajem sięgnął po notes, by zanotować adres hotelu, o którego adres uprzejmie zapytał młodą dziewczynę, która ku niemałemu zdziwieniu dziennikarza, odrzekła:

— Adresu hotelu panu podać żadnego nie mogę, gdyż w naszym miasteczku takiego czegoś nie ma. Zaprowadzę jednak pana chętnie do kogoś, kto czeka z utęsknieniem na pana...

— Jakto! Nie rozumiem?

— A jednak to proste. Kochająca pana istota czeka na niego i nieraz modliła się do Boga, by wysłuchał ją i przywiódł w jej progi ukochanego, na którego ewtl. przyjęcie mama jest przygotowana i specjalny pokoik również czeka przygotowany...

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę.

— Czy jeszcze pan mnie nie rozumie? — zapytała Zofia. — Oj, wy, mężczyźni, rozumiecie wszystko, lecz nie możecie zrozumieć prostego serca kobiety...

— To... to... tą korespondentką jest pani? — wybełkotał niepewnie Jurek, radując się na myśl o trafności tego przypuszczenia.

A kiedy piękna dziewczyna przytaknęła rozkosznie, Czarski pochwycił jej drobne łapięta i ucałował uszczęśliwiony.

Śnieg gwiezdną stułą miłości oplótł zwarte w uścisku dłonie.

Czarski nic więcej nie był zdolen wyrzec słowami, tylko jego sprawna ręka wypisała strofkę płynącą z serca w otwartym notesie, po czym wyrwawszy karteczkę, wręczył ją w milczeniu dziewczynie.

Zofia jednym tchem przeczytała wierszyk:

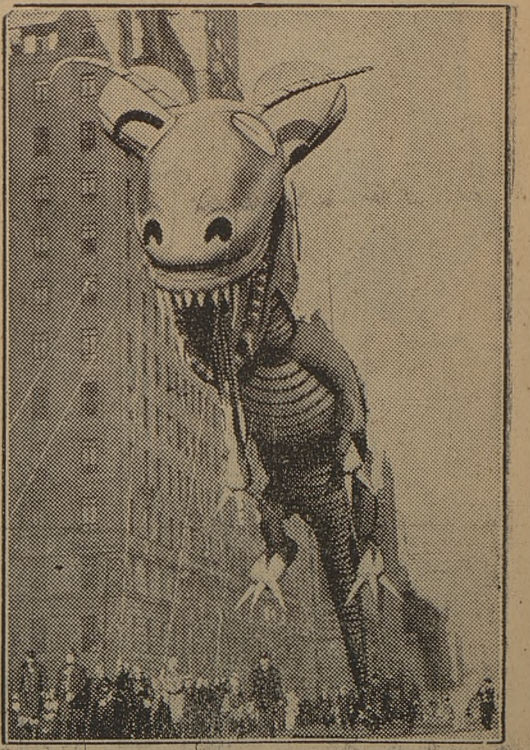
Kiedy ujrzałem Cię po raz pierwszy,
serce me żywiej zabiło...
życie nabrało treści prawdziwej,
której na imię: Miłość.

— O, mój kochany! — wyrzuciła rozpromieniona Zofia. — Tak właśnie było, kiedy ja ciebie, chłopczyku, ujrzałam po raz pierwszy na zdjęciu. Tylko ja tego tak pięknie nie umiałam wysłowić — jak ty to potrafisz.

Śnieg swoim poszeptem powtórzył strofkę wiersza i poniósł ją w dal. —

— A wie pan, że nie poznałam pana w pierwszej chwili — dodała, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia młoda dziewczyna. — Coś mi mówiło, że to pan, ale nie byłam zupełnie pewna... Bo trochę inaczej pan wygląda w rzeczywistości... Teraz już nie żałuję mego naiwnego zda się kroku, z którego wszyscy się śmiali...

Wiatr na zakręcie ulicy zagłuszył resztę słów, szepcąc jakąś opowieść o cudzych łzach, których młodzi ludzie nie dosłyszeli, będąc zasłuchani w melodię własnych serc, omotanych kanwą miłości.



Tak, jak w innych latach, tak i w obecnym roku Ameryka obchodziła „Dzień dziękczynienia", podczas którego niesiono w pochodzie takiego oto potwora, jak ten.

na, że się staram dla ciebie mały posąg złożyć.

— Markiz woła dorożkę! — zawołała Cyla, która przez okno wyglądała podczas mowy swej matki. — Niech mama popatrzy, jak on wsiada. Jestem przekonana, że on jedzie wprost do Eisenharta.

Przypuszczenia Cyli były słuszne. Markiz udał się rzeczywiście, niezwłocznie do jego kancelarii i przedstawiwszy się Eisenhartowi, rzekł po francusku:

— Panie mecenasie, przychodzę do pana po przeczytaniu pańskiego ogłoszenia dotyczącego panny Idy Steinert. Czy nie byłby pan łaskaw odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Bardzo chętnie, o ile to się zgadza z dyskrecją, do której wobec swoich klientów jestem zobowiązany — odparł Eisenhart uprzejmie, poznawszy na pierwsze wejrzenie, że ma do czynienia z człowiekiem honorowym.

— Dziękuję panu! — rzekł markiz, podając adwokatowi rękę. Czy pan podał ogłoszenie do gazet na zlecenie aptekarza Haia?

I w markizie powstało bowiem podejrzenie, że była to łapka, którą Haiowie na Idę nastawili.

— Zaręczam panu słowem honoru, że nie! — zawołał Eisenhart. — Ale pan Hai był tutaj i poruszał wszystkie sprężyny, aby się ode mnie dowiedzieć w czyim imieniu ja działałem!

— Czy panna Ida ma przyjaciół, którzy się chcą za nią ująć? — spytał markiz i tak błagalnie przy tym spojrzał na Eisenharta, że ten aż uczuł litość dla niego. Odpowiedział więc uprzejmie:

— Panna Ida ma rzeczywiście jednego przyjaciela; dyskrecja zakazuje mi jednak wymienić panu jego nazwisko.

Markiz westchnął i zapytał:

— Czy się panna Ida już do pana zgłosiła?

— Nie! — odparł Eisenhart. — Nawet Zwirner, ani Sperling nie mogą o miejscu pobytu się dowiedzieć. Zaginęła bez śladu!

De Lorme westchnął po raz drugi i zapytał:

— Czy mi pan w żaden sposób nie może wymienić nazwiska przyjaciela panny Idy?

— Niestety, nie mogę! — była odpowiedź.

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi. Wszedł młody pisarz Eisenharta i szepnął swemu szefowi:

— Pan Bernard przyszedł właśnie i prosi o bardzo ważną i niezwłoczną konferencję.

— Przepraszam pana na chwilkę — rzekł adwokat do markiza i ukłoniwszy się, wyszedł z pokoju.

Zobaczywszy Bernarda, opowiedział mu zaraz o wizycie markiza i dodał:

— Moim zdaniem, markiz de Lorme jest człowiekiem honorowym, którego bez obawy możesz wtajemniczyć w tę sprawę!

— Zgoda! — rzekł prowizor po pewnym namyśle. — Zapoznaj mnie więc z markizem, a ja ci już w jego obecności opowiem, co za okoliczność mnie tu sprowadza!

Gdy weszli do pokoju, w którym de Lorme czekał, rzekł Eisenhart:

— Panie markizie, przedstawiam panu mego przyjaciela, prowizora Bernarda. W



Na stadionie w Wembley w Anglii rozpoczęły się mistrzostwa w jeździe figurowej na lodzie. Na zdjęciu trzy groźne, acz urocze współzawodniczki: Cecylia Collegde, Pamela Stepany i Brenda Strond.

jego to interesie ogłosiłem ten inserat, bo on chce uwiadomić Idę, w jaki sposób może odzyskać majątek, zabrany jej przez niesumiennych ludzi.

— Przez Haiów? — zapytał markiz.

— Skąd pan to wnioskuje? — zapytał Eisenhart.

— Bo mam ich za ludzi zdolnych do najgorszych czynów! — odparł markiz.

— Aby panom dać dowód zaufania, opowiem wam swoje doświadczenie z Teobaldem Haiem.

Opowiedział im krótko, całą, znaną nam już historię, jak go Teobald zwabił do Marii Śnieżnej i w jak szatański sposób chciał go pozbawić życia. Dodał też, że koniak, którym go Teobald podczas drogi raczył, był mocno zaprawiony opium, środkiem usypiającym, jak później analiza chemiczna okazała.

— O, przypominam sobie, że on się kręcił w laboratorium w dzień swego odjazdu — rzekł Bernard — co za nikczemność tkwi w tym chłopcu!

— Dlaczego pan tego złoczyńcę nie skarżył — spytał adwokat — przecież on zasługuje na długoletnie więzienie!

— Sprzeciwiało się to moim zasadom gubić człowieka, którego rodzice tak gościnnie mnie w dom swój przyjęli — odrzekł markiz.

— Za wielkie względy — zawołał Eisenhart. — Ten łotr zasługuje na szubienicę. Pozwoli pan, że zanotuję dokładnie wszystkie przygody pana w Marii-Śnieżnej, jak długo one panu jeszcze świeżo tkwią w pamięci. Sądzę bowiem, że protokół ten, może się nam w przyszłości bardzo przydać, bo możemy nim zmusić Haiów do warunków, które im podyktujemy!

Gdy się markiz zawsze jeszcze ociągał, rzekł do niego Bernard:

— Panie markizie, niech pan pomyśli, że tu nie tylko chodzi o ukaranie winnych, ale o uchronienie biednej, bezbronnej sieroty przed niebezpieczeństwem, które jej grozi ze strony Haiów. Zostawią oni Idę wtedy w spokoju, gdy nam się uda groźbami ich zastraszyć.

Argument ten trafił markizowi do przekonania i protokół wkrótce był spisany. Po skończeniu tegoż rzekł znów Bernard:

— Wiadomość, z którą dziś przybiegłem brzmi, że dozorczyni, która pielęgnuje chorego Teobalda, była dawniej w sanatorium doktora Silasa i twierdzi, że panna Ida Steinert, tam się znajduje od pewnego czasu.

Markiz przeraził się tą wiadomością, bo przypuszczał, że Idę gwałtem do zakładu obłąkanych wtrącono, ale Bernard uspokoił go co do tego, opowiadając przebieg wizyty Haia w sanatorium.

— Tak więc Hai poszedł fałszywym tropem — zawołał de Lorme, ciesząc się, że Ida uszła szczęśliwie prześladowaniu Haiów. Z drugiej zaś strony martwiło go, że miejsce pobytu ukochanej jego, zawsze jeszcze nie zostało odkryte.

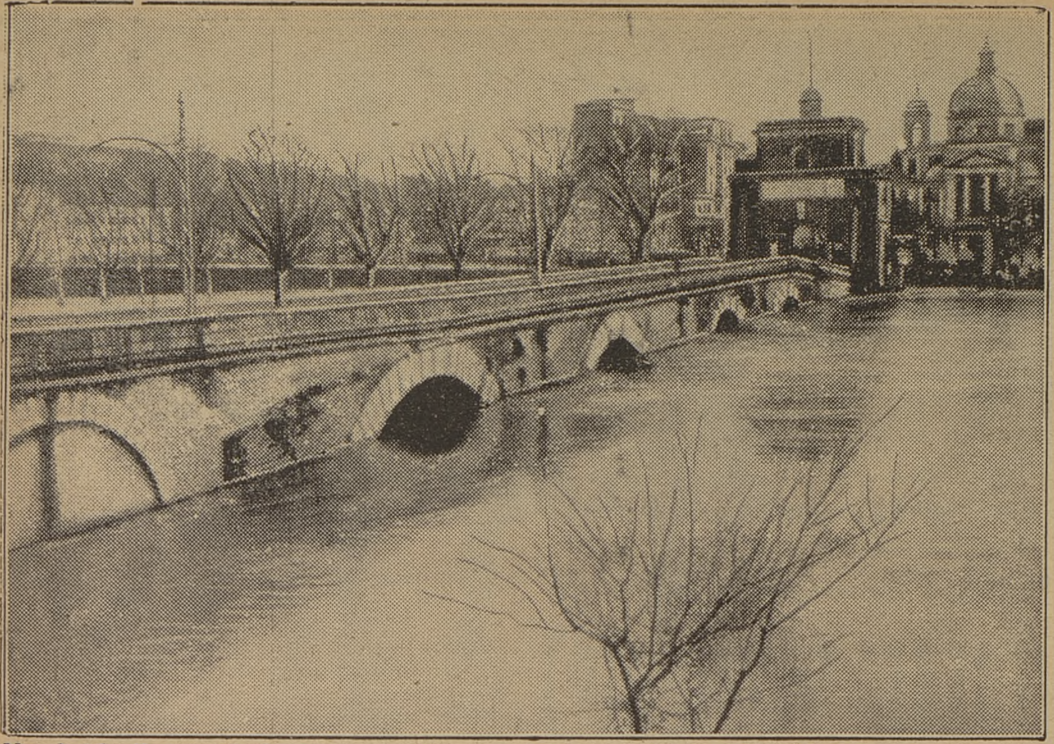
— Mnie się zdaje, że Ida rzeczywiście była w sanatorium — rzekł Bernard — i że pani Willemer zmyliła Haia dlatego, że był w towarzystwie znienawidzonej przez nią dozorczyni. Możemy się o tym najlepiej dowiedzieć, jeżeli przesłuchamy pewną starą szwaczkę, Jetkę Friedrich. Musimy to jednak bardzo ostrożnie uczynić. Ja zamówię sobie u niej tuzin koszul, a przy tej sposobności odnowię starą znajomość.

— Ja pana odprowadzę — zawołał markiz — i dam jej także robotę!

— Przepraszam pana markiza — przerwał mu Bernard — ale zdaje mi się, że obecność pana zakłopotałaby Jetkę. Może by też lepiej było, gdyby i mnie tam jak najmniej widziano, i dlatego poproszę przyjaciela swego Eisenharta, aby się w domu, w którym Jetka mieszka, osobiście dowiedział, czy Jetka jechała do sanatorium w towarzystwie młodej panienki.

Adwokat zgodził się chętnie na to i rzekł:

— Możeby naprawdę było lepiej, gdybym tylko ja z Jetką pomówił, bo zdaje mi się, że ona byłaby bardziej otwartą dla kogoś,



Na skutek długotrwałych deszczy wezbrała w Włoszech rzeka Tyber. Na zdjęciu widok wezbranej rzeki w Rzymie.

kto nie ma żadnej styczności z rodziną Haiów.

— Słusznie — potwierdził Bernard — trzeba uniknąć jej podejrzenia. Dziś była u niej dozorczyni Teobalda, ale nie mogła się od niej niczego dowiedzieć. Utrzymywała ona, że to niejaka panna Schumann była z nią w sanatorium i że ona Idy już od lat nie widziała. Jestem prawie przekonany, że Jetka nie powiedziała prawdy, raz z życzliwości dla Idy, a powtóre z nienawiści dla Haiów.

— Gdybyśmy ją mogli przekonać, że jesteśmy szczerymi przyjaciółmi Idy i że pragniemy jej dobra — rzekł adwokat zamyślony — to możeby ona nam całą prawdę wyjawiła!

— Moi panowie — odezwał się teraz markiz — wybaczcie, ale mnie się zdaje, że żaden z nas trzech się do misji u Jetki nie nadaje. Czytała ona prawdopodobnie inserat pana, panie mecenasie, a jak się pan teraz u niej z jakimś zamówieniem zjawi, to ona zaraz wyczuje podstęp i będzie się starała panu oczy zamydlić.

— Możliwe — mruknął Bernard — kogoż w takim razie wyślemy?

— Mego służącego! — zaproponował markiz.

— Służący pański jest pewno Francuzem i nie potrafi się z Jetką porozumieć — zauważył Eisenhart...

— Nie, on nie jest Francuzem, mimo, że dość płynnie po francusku mówi — odpowiedział markiz — jest nadzwyczaj przebiegły i ma bardzo przyjemną i zaufanie wzbudzającą powierzchowność. Pozwólcie panowie, że po niego poślę i przedstawię go panom?

— Może mój pisarz po niego pójdzie? — zaproponował adwokat.

— Bardzo pan łaskaw — rzekł markiz — dziękuję panu bardzo!

Eisenhart zawołał swego pisarza i dał mu zlecenie, które poparł markiz sutym napiwkiem na fiakra.

Po krótkim czasie wrócił w towarzystwie Jana i miał ogromnie uradowaną minę, bo po zapłaceniu dorożki zostało mu jeszcze z pieniędzy, które dostał od markiza, więcej niż przez cały tydzień w kancelarii pana Eisenharta zarabiał.

— To mi hojny pan! — pomyślał pisarz — chciałbym, aby codziennie do nas przychodził!

— Może pan już pójść do domu — rzekł adwokat do swego pisarza — nie potrzebuję pana dziś więcej!

— Brakuje jeszcze godzina do zamknięcia biura — odpowiedział pisarz, który z powodu sutego napiwku stał się okropnie chętny.

— Nic nie szkodzi — rzekł Eisenhart — ja z tymi panami tylko ustnie będę załatwiał i nie będę dziś dyktował.

Chodziło Eisenhartowi widocznie o to, aby się pisarza pozbyć, gdyż nie mógł na dyskrecję jego liczyć. Po odejściu tegoż dał Janowi szczegółowe informacje co do taktyki, którą wobec Jetki Friedrich miał zachować.

Eisenhart polecił mu zamówić u starej szwaczki pół tuzina koszul i nie zapuszczać się na razie w żadne z nią rozmowy. Dopiero po kilkakrotnych u niej wizytach, które miał składać z coraz innymi zamówieniami i zleceniami, miał ją co Idy wybadać.

— Czy pan jednak obliczył, co za strata czasu z tego wyniknie? — zapytał markiz stroskany.

Eisenhart wzruszył ramionami i odparł:

— Możemy celu naszego dopiąć postępując z nadzwyczajną ostrożnością. Niech mi pan zaufa, panie markizie! Przysięgam panu, że odnajdziemy pannę Idę!

ROZDZIAŁ CCXLI.

Litości! Nie zdradzajcie mej przyjaciółki

Piękna Ida Steinert, przedmiot tylu życzeń i obaw, trosk i nadziei, żyła tymczasem spokojnie w Petershagen.

Mimo pilnej pracy, był to dla niej szczęśliwy czas, gdyż pani Herbert i Sylwia obsypywały ją dowodami miłości i wdzięczności. Ida czuła się tak szczęśliwą między nimi, że obawiała się wprost, że tak wielkie szczęście długo potrwać nie może.

Było to bowiem szczęście zamglone tylko jedną chmurą: wspomnieniem o markizie.

Gdy patrzała na medalion, darowany jej przez de Lorma, albo na uschły bukiecik niezabudek, który również od niego dostała, zakręcały jej się łzy w oczach, i smutek ściskał jej serce.

Nie marzyła nawet nigdy o tem, aby osiągnąć wzajemność markiza, bo w skromności swej uważała to za niemożliwe, aby tak wielki pan, mógł się choć trochę nią zająć. Ale serce jej pękało na myśl, że go może nigdy więcej nie zobaczy.

Tylko z wielkim trudem udało jej się ukryć żal swój przed panią Herbert i Sylwią. Wiedziała bowiem, że one by z nią współczuły, a nie chciała powiększać jeszcze ich zmartwienia.

Sylwia pisała już 3 razy do ojca, błagając go, aby jej pozwolił jechać do Ameryki, ale nie otrzymała dotychczas odpowiedzi.

Nie umiała sobie tego wytłumaczyć, gdyż wiedziała, że ojciec jej zupełnie z jej planami się zgadzał. Przypuszczała więc, że były to szykany inspektora więziennego, który przez barona Sturmferda był uprzedzony do całej rodziny Herbertów.

W utrapieniu swym, napisała Sylwia poza plecyma matki do tajnego ajenta, który jeszcze zawsze był w Konigswaldau, aby wyśledził, kto był właściwym winowajcą, podpalenia leśniczówki. Prosiła go ona, aby ją jak najprędzej odwiedził i poradził w bardzo nagłej i trudnej sprawie.

Sperling, alias Mehlhose, pośpieszył niezwłocznie do Petershagen, skoro tylko list Sylwii otrzymał.

Otworzywszy drzwi skromnego mieszkanka, przeszedł kuchnię i otworzywszy drzwi do pokoiku, zobaczył obie przyjaciółki siedzące tuż obok siebie.

Stał tak przez chwilę oniemiały ze zdziwienia, wreszcie krzyknął:

— Pani tu, panno Ido? Pani tutaj, tak blisko mnie! A ja szukałem panią we Wiedniu!

Sylwia zbladła z przestrachu, gdy zobaczyła, że Sperling zna jej przyjaciółkę. Złożywszy ręce jak do modlitwy, rzekła błagalnym tonem:

— Litości! Niech pan nie zdradzi mej przyjaciółki! Ja zawdzięczam jej dobroci i ofiarności swą wolność, a może nawet życie! Niech pan się zmiłuje nade mną! Niech pan nie wprowadza biednej Idy w nieszczęście, ona i tak już dość się nacierpiała...

— Byłbym barbarzyńcą, gdyby mnie prośby pani nie wzruszyły! — odpowiedział Mehlhose. — Niech panie będą spokojne, tajemnice ich zachowam dla siebie. Zrobię nawet jeszcze więcej i zmylę Haia fałszywą o pani wiadomością!

— Będziemy panu wdzięczne do grobowej deski — zawołała Sylwia uradowana. Nie ma pan pojęcia, jak my to dobre stworzenie kochamy! Sama myśl, że Ida mogłaby wrócić do tych okropnych Haiów, przeraża nas.

— Ależ niech się pani uspokoi! — mitygował ją Mehlhose. — Przecież do tego nie przyjdzie, bo ja panny Idy nie zdradzę. Zlecenie Haia, co do wyszukania i oddania w jego ręce bezbronnej dziewczy-



Amerykanie mają zwyczaj przed rozpoczęciem każdego sezonu balowego wynajdywać nowy taniec. Obecnie propaguje się t. zw. appeldance, przy którym nietylko widzowie, lecz i tancerze z niedowierzaniem potrząsają głowami.

ny, już przedtem się sprzeciwiało memu przekonaniu. Wziąłem je na siebie dlatego tylko, bo się obawiałem, że Hai w przeciwnym razie uda się do Zwirnera, albo do innego z moich kolegów, którzyby żadnych względów dla panny Idy nie mieli.

— Pańskiej wspaniałomyślności zawdzięczamy uradowanie Idy — zawołała Sylwia — zostajemy dłużniczkami pana, panie Mehlhose!

Rzekłszy to, podała mu rękę, którą on z uszanowaniem ucałował. Potem zapytał:

— Jakie poza tym zlecenia ma pani dla mnie?

— Żadnych zleceń, tylko skromną prośbę — odparła Sylwia — i zaczęła mu opowiadać, jak jej się dotychczas jeszcze nie udało otrzymać pisemnego pozwolenia ojca na podróż do Ameryki. W końcu zawołała:

— Niech mi pan poradzi, co mam zrobić, panie Mehlhose! Jestem zupełnie bezradna!

Tajny ajent pomyślał przez chwilę, a potem rzekł:

— Widocznie inspektor panią tu chce zatrzymać, bo jest on przez barona Sturmferdera do pani uprzedzony. Prostą drogą nigdy pani do końca nie przyjdzie, musimy użyć podstępu. Czy ma pani papier, kałamarz i pióro pod ręką?

Sylwia podała mu żądane przybory do pisania, a Mehlhose wystawił dwa dokumenty, z których jeden był wekslem na kilkaset reńskich, a drugi zawierał pisemne pozwolenie Herberta do odjazdu córki. Ukończywszy pisanie złożył oba arkusze, wsunął je do kieszeni i pożegnawszy się wyszedł.

Udał się wprost do więzienia i pociągnął za dzwonek. Po kilku minutach ukazał się odźwierny i zapytał dość szorstko co sobie przybysz życzy.

— Muszę z panem pomówić w cztery oczy — rzekł Mehlhose wsuwając mu guldena w rękę — czy może mnie pan na chwilę przyjąć w swoim mieszkaniu?

— Dlaczego nie? — odpowiedział odźwierny zmieniając ton. — Chodź pan tędy na dół, jeśli łaska!

Zaprowadził Sperlinga do swego pokoju i spojrzał na niego zaciekawiony.

— Widzi pan, kochany panie — zaczął Mehlhose — ja jestem człowiekiem, który się zajmuje różnymi interesami i przyszedłem tu w pewnym interesie.

— Jeżeli chodzi o dostawy, odpowiedział odźwierny, to muszę panu z góry powiedzieć, że się pan spóźnił, bo je przed Nowym Rokiem komu innemu obiecano.

— Nie chodzi tu o dostawy — rzekł Mehlhose żywo — tylko o interes prywatny. Mam bowiem pożyczyć pani Herbert kilkaset reńskich.

— Czegoż pan z tym tutaj przychodzi? — spytał odźwierny zdziwiony.

— Bo widzi pan — odparł Mehlhose z przebiegłą miną — ja znam się na interesach i lubię mieć zawsze dobre zabezpieczenie. Sam podpis pani Herbert mi nie wystarcza; muszę jeszcze mieć podpis jej męża, bez którego weksel nie ma dla wartości. Dlatego też przyszedłem tu, i gdyby pan był tak łaskaw wpuścić mnie na pięć minut do celi leśniczego...

— Nic z tego — przerwał mu odźwierny — to jest absolutnie niemożliwe, bo gdyby się inspektor o tym dowiedział, to bym natychmiast stracił posadę!

Mehlhose wyjął drugiego guldena i wsunął go w rękę odźwiernemu.

— Nie żądam nic niemożliwego — rzekł tajny agent — bo też jestem człowiekiem i nie chciałbym nikogo pozbawić chleba, przyjacielu. Ale małą przysługę mógłby mi pan wyrządzić, gdyby pan zechciał wręczyć panu Herbertowi ten weksel, poprosić go o podpis i oddać mi go.

Odźwierny jeszcze się wahał.

— Niech pan sobie dla pewności jeszcze ten weksel przeczyta, nim go pan leśniczemu wręczy — rzekł znów Sperling. Niech się pan naocznie przekona o tym, że to zwykły weksel.

To mówiąc podał go odźwiernemu, a ten przeczytał go uważnie.

— Nie może mi to rzeczywiście zaszkodzić, to pimo Herbertowi doręczę — mruknął.

Potem zapytał:

— Czy pan Herbert ma atrament i pióro w swej celi

— Nie, odpowiedział oddźwierny, muszę mu jedno i drugie zanieść!

Podczas gdy odźwierny wyjmował ze swej komody przybory do pisania, Mehlhose odwrócił się zamienił prędko oba arkusze. Wręczając mu w następnej chwili z najniewinniejszą w świecie miną, w miejsce weksla drugi arkusz, w którym chodziło o pozwolenie Herberta co do odjazdu jego córki, rzekł uprzejmie:

— Schowaj pan ten papier, aby go nikt nie zobaczył. Dostanie pan jeszcze kilka reńskich, jak mi go pan odda z podpisem. Niech pan zamknie drzwi swego mieszkania, zaczekam na pana na korytarzu.

To rzekłszy opuścił wraz z nim mieszkanie, bo mu o to chodziło, aby odźwiernego jak najdłużej mieć na oku.

— Proszę się panu Herbertowi kłaniać w moim imieniu — rzekł — nazywam się Mehlhose!

— Dobrze panie Mehlhose — powtórzył odźwierny i wsunął się szybko do celi.

— Panie Herbert — odezwał się do leśniczego — pan Mehlhose każe się panu kłaniać i prosi pana o podpisanie tego dokumentu. Widzi pan, nie można mu tego za złe wziąć, że on się chce upewnić. Jest to bardzo ładnie z jego strony, że on wogóle chce dać te pieniądze.

Kończąc te słowa, podał zdziwionemu leśniczemu arkusz, który wyciągnął z kieszeni.

Herbert otworzył go szybko, i po pierwszych słowach już poznał, że Mehlhose wziął się na podstęp, aby uzyskać jego podpis, to znaczy, pisemne pozwolenie na odjazd córki. Podpisał więc pospiesznie osuszył przy ciepłym piecu, złożył starannie i oddał dźwiernemu papier, mówiąc:

— Proszę oddać panu Mehlhosowi ten weksel, z pięknym ukłonem ode mnie i podziękować w moim imieniu, że nie opuszcza rodziny mej!

— Dobrze, panie Herbert — odpowiedział odźwierny, wysuwając się szybko z celi.

Mehlhose oczekiwał powrotu odźwiernego na korytarzu z bijącym sercem.

Jedno, jedyne nieostrożne słowo leśniczego, wykrzyknik albo nawet tylko zdziwiona mina jego, mogła podstęp agenta zdradzić i plany jego zniweczyć. Gdyby się odźwierny na tem połapał, strzegłby więźnia odtąd jeszcze bardziej i byłoby wprost niemożliwym z nim się porozumieć!

To też Mehlhose odetchnął, gdy zobaczył odźwiernego, wracającego z obojętną i pogodną miną.

Dostawszy od niego złożony papier z podpisem, wsunął mu znów kilka reńskich, podziękował mu raz jeszcze i oddalił się szybko. Szedł pieszo, a miał kawał drogi do Petershagen.

Z tryumfującą miną wszedł on do mieszkania pani Herbert, w którym zastał obie przyjaciółki znów przy robocie. Musiały się one dobrze zwijać, aby zarobić na swe życie.

— Otóż pozwolenie ojca pani na podróż, panno Sylwio — zawołał agent już od progu, podają jej papier z uśmiechem zadowolenia.

— Czy widział pan ojca? Jak on wygląda? W jakim humorze? — zapytywała Sylwia, żywo, biegnąc ku niemu.

Niestety, nie mogę na te pytanie odpowiedzieć, bo ojca pani nie widziałem — odpowiedział Mehlhose.

— A w jaki sposób uzyskał pan podpis, — spytała Sylwia zaniepokojona.

Ale gdy jej Mehlhose opowiedział swój strategiczny plan, rozłożyła Sylwia arkusz i ucałowała z uszanowaniem i miłością podpis swego ojca.

— Kochany, uwięziony ojcze! — szepnęła — tylko trochę cierpliwości jeszcze, a będziesz uwolniony.

Potem zwróciła się do Sperlinga i podziękowała mu serdecznymi, gorącymi słowy.

— Niech pan dziś u nas zostanie i dotrzyma przyjaciółce mej towarzystwa! — prosiła Sylwia. — Ja niestety będę musiała odejść na chwilę, postarać się o paszport, bez którego nie mogę się wybrać w podróż. Pan zaś niech tymczasem Idzie opowie, co się w jej nieobecności w domu Hałów działo, czy Teoblad już pocieszył się po stracie swej narzeczonej, czy markiz de Lorme wyzdrowiał i czy się doktór Silis już ożenił z Willemerową! Widzi pan panie Mehleres, nie zabraknie panu tematu do rozmowy.

Pocałowała Idę, podała rękę Sperlingowi i wyszła do sąsiedniego pokoju, aby się przebrać do wyjścia.

W prezydium policji zastała Sylwia bardzo uprzejmego, młodego urzędnika, którego zresztą już przedtem znała. Wystawił on jej niezwłocznie żądany paszport, nie stawiając jej niepotrzebnych pytań, nie żądając nawet metryki i świadectwa chrztu, bo wiedział, że wszystkie papiery Herbertów się spaliły.

Sylwia podziękowała i pożegnała się, a gdy wyszła, urzędnik pobiegł do okna, aby choć raz jeszcze spojrzeć za piękną dziewczyną.

— Chwała Bogu, teraz mogę jechać! — szepnęła Sylwia wracając do domu.

ROZDZIAŁ CCXLII.

Uwięziony po raz drugi

Nie było to dla kasztelana łatwym zadaniem, ściągnąć swego więźnia na powrót do zamku Felseg, bo nie przyszedł on jeszcze do sił, po ostatniej chorobie.

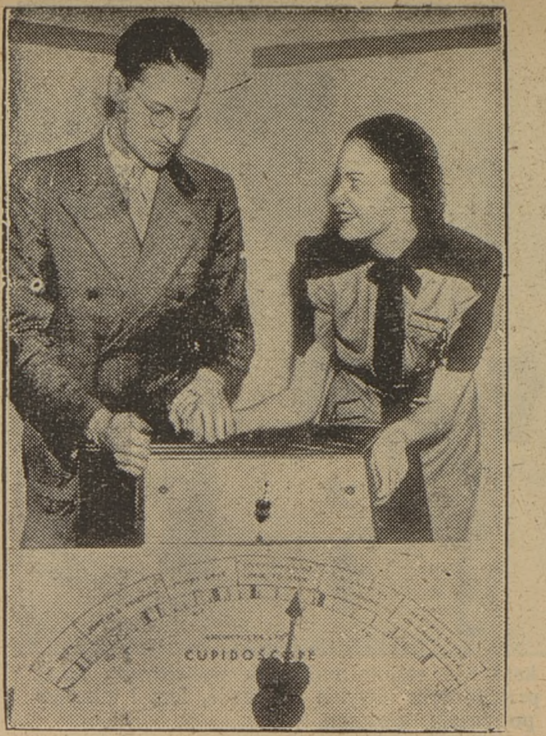
Alojzy musiał często stawać i wypoczywać. Wtedy odchylał gałęzie i patrzał na swego więźnia. Najpierw zwolnił mu knebel w ustach, gdy jednak zobaczył, że twarz jego mimo to jest sina, był zmuszony wyjąć mu z ust knebel zupełnie, bo się obawiał uduszenia.

— Na Boga — mruknął kasztelan przestraszony — on jest na pół nieżywy. Lecz on nie śmie umrzeć!

Ukląkł koło niego i zaczął nacierać pulsy i czoło hrabiego Wildensteina koniakiem, który miał na szczęście przy sobie.

Chciał mu też wlać kilka kropel do ust, ale nie mógł tego uczynić, jak długo oddech nieszczęśliwego Wernera był jeszcze niespokojny i nieregularny.

— Trzeba, abym się z nim jak najprędzej do zamku dostał — pomyślał Alojzy — gdy go tylko będę miał w domu, to już wszystko inne łatwo pójdzie!



Aparat do mierzenia miłości. Jak zwykle w Ameryce, został skonstruowany aparat, wykazujący stopień miłości między dwoma osobami.

Zaprzągł się więc znów do sanek i ciągnął je pod górę z natężeniem wszystkich sił. Gdy nareszcie dojechał do zamku, czuł się szczęśliwym. Wydostał klucz ze zwykłego schowku i otworzywszy szerokie drzwi wchodowe, wsunął do środka saneczki i zamknął drzwi starannie za sobą.

— Tak, panie hrabio, jesteśmy znów w domu! — rzekł Alojzy do swego więźnia, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi, odrzucił zaniepokojony gałęzie, którymi hrabia był przykryty.

Werner leżał nieprzytomny, bez znaku życia.

Kasztelan popatrzył na niego z pewnym współczuciem. Zaniósł go do swego łóżka, nakrył go ciepło i krzepił go znów koniakiem. Trwało to dość długo, nim hrabia znów do siebie przyszedł.

— On nie może umrzeć! — powtórzył znów Alojzy — tej przysługi nie chciałbym baronowi Sturmfederowi zrobić, aby tak niebezpieczny przeciwnik zginął. Byłaby to dla barona wielka wygrana, a tego mu nie życzę!

Był niezmordowany w swoich staraniach około Wernera, który wreszcie otworzył oczy i spojrzał na kata swego z niemym wyrzutem.

— Pij pan, panie hrabio! — rzekł Alojzy, podając mu flaszkę. — Jest to dobry, francuski koniak, który panu pewno będzie smakował.

Ale Werner odsunął flaszkę i rzekł słabym głosem:

— Okrutniku! Dlaczego nie dałeś mi umrzeć? Wiesz dobrze, że wolę sto razy śmierć, niż życie w tym strasznym więzieniu!

— Uspokój się pan, panie hrabio — odparł Alojzy — bo na razie nie mogę pana nawet tam przetransportować. Jest to dla dwóch wielka praca, a najsilniejszy nawet człowiek tego by sam nie potrafił. Muszę więc, chcąc nie chcąc zostawić pana tu na górze, nim Ilona nie przyjdzie i nie pomoże mi. To zaś może jeszcze dość długo potrwać, bośmy się pokłócili i ona teraz się na mnie gniewa. Wie pan co, panie hrabio? — Jak długo pan był w szczęściu, nienawidziłem pana; ale teraz, gdy pana widzę takiego biednego, żal mi się robi i gdyby mi nie chodziło o własną skórę, to wypuściłbym pana na wolność. Jak Boga kocham, że uczyniłbym to!

— Alojzy, przysięgam ci, że nie tylko, że ci nic złego nie zrobię, ale cię nawet jeszcze po królewsku wynagrodzę, gdy się zlitujesz nade mną i na wolność mnie wypuścisz! — zawołał nieszczęśliwy hrabia, w którego sercu słowa kasztelana nową obudziły nadzieję.

Ale kasztelan potrząsnął tylko niedowierzająco głową i odpowiedział:

— Nie dziwię się panie hrabio, że mi pan złote góry obiecuje. Ja tak samo bym na miejscu pana uczynił, ale później biada memu nieprzyjacielowi! Musiałby pan być aniołem, a nie człowiekiem, aby wszystkie męki, które pan tu znosił, nie wzbudziły w panu gorącej chęci zemsty. Musi pan mnie i Ilonę śmiertelnie nienawidzić!

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ARYTMOGRAF

uł. Jan Feliks Płóciennik.

1 2 5 3 17 9 16 3 10 8 11 1
2 9 10 6 5 8 16 18 12 1 14
9 4 5 6 7 13 10 3 15 16 7
17 9 16 7.

A. Mickiewicz.

W miejsce cyfr, podług niżej podanego klucza pomocniczego, należy wstawić litery — które dadzą rozwiązanie.

Klucz pomocniczy:

1 5 2 5 3 5 4 zasłona.
6 7 2 9 10 imię męskie.
8 11 7 12 13 4 14 miasto w Polsce.
15 16 7 17 5 niedostatek.

SZARADA

pod. „Maryna".

Dawniej w Polsce tak bywało,
Że gdy rycerz szedł na wojnę —
Kornie padał przed ołtarzem
Pierwsze — *trzecie* składał hojnie.
Drugie — rycerz, miast żony
Nosił pałasz wyostrzony.
Gdy po ciężkich trudach wojny
Potrzebujesz czułej pieczy,
Nie masz żony,
Jedź, gdzie *całość*,
Ona całkiem Cię wyleczy. —

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy 12 stycznia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 52 „Moich Powieści": *„Krzyżykówka świąteczna"*: Wyrazy poziome: 2) Kot. 4) Laska. 6) Lot. 7) Ara. 11) Tnę (wspak). 13) Koń. 14) Rok. 15a) Tak. 17) Noc. 19) Juliusz Słowacki. 22) Boy. 23) T. Z. P. (wspak). 24) Dr. (wspak). 25) Cyt! (wspak). 28) Alkohol. 31) Taran. 32) mkm. Wyrazy pionowe: 1) Nos. 2) Kat. 3) Fka. 4) Los. 5) Kra (wspak). 8) Antikon (wspak). 9) To. 10) Mocarza. 12) Taurydа. 14) Litawor (wspak). 15) Tur. 16) k. s. 17) On (wspak). 18) Oko. 20) Za. 21) Eł (wspak). 25) Tka. 26) Jork. 27) Cham. 29) It. 30) On. *Kwadrat magiczny:* 1) Mowa. 2) Owad. 3) Wata. 4) Adam.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Irena Siemianowska — Tczew, „Eros", Jadwiga Grotówna — Kartuzy, Tadeusz Lenart — Rakowice, Donata Piliszkówna — Grochowice, Janusz Katulski — Poznań, Zenon Wajner — Kalisz, Urszula Poszumówna — Zawiercie, Maria Nowakówna — Koźmin, Cecylia Połaniewska — Ostrów Wlkp.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Irenie Siemianowskiej z Tczewa i Januszowi Katulskiemu z Poznania.

ADAM NASIELSKI

4)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Miss Murray poleciła służyć panu samochodem, sir.

— Kiedy?

— Gdy pan wsiadał z drugiej strony przed Petit Gourmet.

— Well — przystał Kent obojętnie. — Hotel Stevens.

Był trochę śpiący i w czasie jazdy nie myślał o niczym. Obecne oszołomienie nie było już jednak skutkiem wypitego alkoholu — to było coś innego, ale nie umiał jeszcze określić. Sięgnął do kieszeni na piersiach. Pieniądze są. Więc to nie był sen. Dopiero pisk hamulców przywrócił mu orientację. Wysiadł i mimo oporu wcisnął szoferowi miss Murray srebrnego dolara do ręki.

Portier ukłonił mu się normalnie, ale Jazowi wydał się ten ukłon innym. Omal nie chciał pokazać mu pieniędzy. Skierował się wprost do windy, gdy za sobą usłyszał szmer kroków na linoleum i ujrzał doganiającego go boy'a. Czego ten znowu...

— List dla pana kapitana.

— Thank.

Machinalnie wsunął kopertę do kieszeni płaszcza i stłumił zdziwienie. W pokoju czekał na niego Cliff. — Dobry wieczór. — I bez wyjaśnień, wymownym ruchem rzucił Jaz na stół cztery studolarówki i garść srebra.

— Teraz możesz nie martwić się, Cliff.

Ujrzał przerażone spojrzenie murzyna i z początku nic nie rozumiał.

— Czemu się nie radujesz, Cliff.

— Pan... kogoś ograbił, captain.

— Aha! Zarąbałem grzebieniem patrol policji, konwojujący transport złota do National Banku.

— Proszę nie żartować, sir. Skąd pan wziął te pieniądze.

— Otrzymałem w podarunku. Nie wiem sam za co. Schowaj frak do szafy, daj mi pyjamę i spokój.

Gdy nareszcie Cliff uporał się ze wszystkim, Jaz wyjął list, wręczony mu przez boy'a i przedtem obejrzał kopertę — bez znaczka pocztowego, a więc przez posłańca. Chyba nie znowu pieniądze. Adres był napisany na maszynie. Pewno list również. Zgadza się i niema pieniędzy. Odczytał:

„Nie wchodź w kontakt z Montague Sedgwickiem, bo..."

Trzy kropki, nic więcej. Bez podpisu. Przetarł czoło i skronie dłonią. Może mu się jednak śni. Kto mógł zdobyć jego adres w hotelu, o którym on sam nie miał pojęcia aż do ostatniej chwili. Kto mógł już wiedzieć o jego rozmowie z Sedgwickiem i co oznaczał ten list i to „bo..."

Zadzwonił i spojrzał na Cliffa. Murzyn nie ochłonął jeszcze ze zdziwienia i patrzał wciąż, jak urzeczony, na leżący na stole „majątek" niewiadomego dlań pochodzenia. Kent wręczył mu kopertę i list.

— Czytaj — rozkazał. — Może ja jestem pijany.

Hallet przyzwyczajony był do ślepego posłuszeństwa wobec rozkazów swego pana. Bezdusznym głosem odczytał. — Adres: To Captain Jazon Kent, Hotel Stevens. List: „Nie wchódź w kontakt z Montague Sedgwickiem, bo..."

— Dziękuję, Cliff. Zgadza się.

— Kto to jest Montague Sedgwick, sir.

— Cesarz Etiopii — mruknął Jaz, który gadał głupie dowcipy, ilekroć był zły. — Dobranoc, Cliff.

I bez dalszej dyskusji ułożył się na tapczanie i zasnął natychmiast, niepomny, że przecież w sąsiednim pokoju czekało nań weneckie łoże na morskiej trawie i z edredońskim puchem.

Murzyn nie oponował. Z sypialni przyniósł kołdrę i okrył nią starannie kapitana. Sam — na złość! — położył się na weneckiem łóżku w sypialni, z którego wezgłowia patrzały na Cliffa dwa rzeźbione lwy. Cliffowi zdawało się, że afrykańscy rodacy odmiennego gatunku uśmiechają się doń drwiąco: „A źle ci było w Kongolo, czarna małpo. Teraz dobrze ci tak!" Wydął pogardliwie grube wargi: „Nie znacie wy mego kapitana..." i zamknął oczy, ale czuł, że ten, na lewo, nie przestaje uśmiechać się kpiąco. Przypomniał sobie, że może przecież, a nawet powinien, zgasić światło i uczynił to bez wahania. Po pięciu minutach już chrapał.

ROZDZIAŁ VII.

NOWA FIGURA

Starym, marynarskim zwyczajem Jaz obudził się o szóstej. Cliff już nie spał. Siedział na krześle naprzeciwko tapczanu i patrzał jak zahypnotyzowany na leżące wciąż na stole magiczne pieniądze. Może sądził dotąd, że są urojeniem. Bał się ich dotknąć, aby się przekonać. Widząc otwarte oczy Jaza wstał energicznie, podszedł i szurgnął nogami, jak na pokładzie podczas porannej wachty.

— Panie kapitanie! Melduję posłusznie — szósta!

Kent przetarł zaspane powieki. Opary wypitego wczoraj alkoholu rozwiały się już całkowicie. Świadomość była w formie — lecz wspomnienia nie ulotniły się wcale. Pieniądze na stole przypominały uporczywie wydarzenia wczorajszego wieczoru i popołudnia. Dworzec, bank, hotel, bal, Thelma, Sedgwick i pięćset.

Kapitan Jazon Kent nie był nigdy ani głupi, ani naiwny. Miewał wprawdzie swoje narwane kaprysy i ekstrawagancje — ale zdawał sobie zawsze sprawę z tego co czynił i gdzie lądował. Możliwe, że wczoraj niebardzo obmyślił, co robił, gdy bez centa przy duszy wynajął lukususowy apartament w pierwszorzędnym hotelu — jednak i wtedy miał podświadomie jakieś zamiary. Ostatecznie, sprzedałby w końcu coś, lub zastawił i zapłaciłby hotel. Tylko tak się mówi, że: przyzwyczajenia, zasady — lecz kiedy bieda przyciśnie...

To też i teraz nie przypuszczał, że Montague Sedgwick upadł nagle na głowę i dał obcemu człowiekowi pieniądze — pięćset dolarów! — za darmo lub za piękne oczy. Po otrzymaniu wczorajszego listu zaczynał pojmować, że tu tkwić musi coś więcej niż żart. Dyrektor mr. Sedgwick, pomimo niedomagania wątroby wcale mu nie wyglądał na półgłówka, przeciwnie, miał oczy dość przebiegłe i jakiś dziwny półton w głosie. W całej grze musiał tkwić jakiś nieznany jeszcze Jazonowi punkt. Centralny punkt. Dlatego to otrzymał pieniądze, list z pogróżką, którą nie miał zamiaru się przejmować. Nazwisko Murray musiało mieć z tym coś wspólnego — bo Sedgwick dopiero wtedy zawołał Jaza, gdy zauważył go w towarzystwie miss Murray.

Na tem kończyły się na razie logiczne rozważania. Pozostało czekać na rozwój wypadków. Jaz pocieszył się, sumienie ma czyste i nic nikomu jeszcze złego nie zrobił. Nie narzucał się, a że wynajął apartament w hotelu nie mając pieniędzy — to jedynie jego osobista sprawa i najwyżej sprawa policji — jak powiedział wczoraj Sedgwickowi. A za hotel zapłaci. Od razu!

— Zadzwoń tam, Cliff.

Murzyn nacisnął na deseczce guzik nad napisem „rachunek" i po kilku minutach zjawił się młody człowiek w binoklach, co w Ameryce jest rzadkością. Kapitan przyjął go przyjaźnie i z ostatnim z Cortez'ów w zębach.

— Good morning, captain Kent. Jak się panu u nas spało?

— Nieźle, owszem — odpowiedział szablonem na szablon i od razu przystąpił do sedna. — Chcę zapłacić to, com winien. Możliwe, że będę musiał nagle wyje-

chać z Chicago, a wtedy wolałbym nie tracić czasu. Zostaję na razie, ale teraz płacę.

Płatniczy nie sprzeciwiał się oczywiście takiemu postawieniu sprawy. Był nawet zadowolony, choć „ależ, kapitanie, co pan sobie o nas myśli". Przeczuwał od razu, że kapitan Kent to porządny gość. Wyciągnął blok i podsumował.

— Please! Osiemnaście dolarów dobra, plus podatek mieszkaniowy, plus kolacja i osiemdziesiąt centów taksówka.

— Plus śniadanie — uzupełnił obieżyświat. — Razem?

— Dwadzieścia jeden dolarów, cztery centy.

— Oto forsa i gotów!

— Dziękuję — uśmiechnęły się binokle. — Za śniadanie zapłaci pan tam, gdzie je pan zje. Jeżeli mogę wtrącić moje skromne zdanie...

— Może pan.

— Radzę zjeść na naszym tarasie. Piękny widok na miasto.

Jaz skinął głową i niedbale schował banknoty i bilon do kieszeni płaszcza. Płatniczy wyszedł, kłaniając się ile wlezie, choć nikt już na niego nie zważał. Cliff wyjmował z szafy jasny garnitur sportowy w szkockie kraty, a jego pan golił się w łazience, podśpiewując, pomimo, że zawsze się dlatego zacinał. Tym razem poszło gładko i uważał to za dobry omen.

— Pozostało nam czterystapięćdziesiąt sześć dolarów, osiemdziesiąt osiem centów, czyli dość, aby się rozejrzeć, namyśleć i nie skompromitować się. Tem bardziej, że mam wcale ładne widoki.

Pomyślał o miss Murray, lecz zarazem przypomniał sobie, że o pierwszej ma zadzwonić do banku, do Sedgwicka. Ten dyrektor mimo wszystkiego wygląda na sprytnego ,lepiej z takim nie zarywać — skoro się wzięło gotówkę, to... Ale teraz dopiero siódma i czasu aż nadto, można się trochę przespacerować po jedzeniu, należy bowiem cenić zdrowie, jak nic. Przy okazji obejrzy sobie Chicago, o którym tyle już słyszał i czytał i zastanowi się nad sytuacją. Narazie, można żyć.

Ubrany, ogolony, wymyty, wyszedł na korytarz i kazał windziarzowi zawieźć się na taras. Roztaczał się stąd piękny widok na „Loop", śródmieście Chicago. Na prawo lśniły pod oparami wody jeziora Michigan, na północy wąska taśma Chicago River, tak „obłożona" szerokimi mostami, że wyglądało to raczej na szosę pod którą płynęła woda, niż na rzekę, przez którą przerzucono jedenaście mostów. Wokoło pod nim, wrzał ruch i życie. Wagony pociągów o elektrycznej trakcji przelatywały z hukiem po potężnych stalowych wiaduktach. Niedarmo ten odcinek Chicago nazywany jest przez Amerykanów: „the busiest corner in the world" — najruchliwszy rogiem świata. Z tarasu Jazon widział wyraźnie La Salle Street — nazwaną „ulicą banków", State Street — ulicę sklepów (Department Stores) i Randelph Street — aleję teatrów. Stożkowata kopuła Federal Building lśniła w słońcu niby jego filia na Illinois, a korynckie kolumny City an Country Building wyglądały stąd malowniczo, niby zielona oaza na giełdzie.

Zjadł obfite śniadanie i nabił fajkę. Stoliki sąsiednie były wolne, ale nieco dalej rozsiadło się urozmaicone i eleganckie towarzystwo, bo na Hotel Stevens nie może sobie pozwolić byle kto. Jakiś Indus czy Arab w turbanie z pięknym czarnym kamieniem z trudem udowadniał kelnerowi łamaną angielszczyzną, że skoro się zamawia roastbeef, to nie należy serwować wykałaczek, które tu przecież stoją. Dwie chude Angielki, jedna aż w monoklu, i jakiś grubas notujący coś zawzięcie na wszystkich brzegach pism, jakie kazał sobie podać. Jazon Kent miał chwalebny zwyczaj nieczytania pism codziennych i zamówił u chłopca humorystyczne tygodniki i miesięczniki. Zaczytany, nie zauważył nawet ,jak zbliżył się doń boy.

— Pardon me, sir. Czy kapitan Kent.

— Yes — skinął głową. Okazuje się, że on już jest sławny w Chicago. Nic nie rozumiał.

— Jakiś pan czeka w hallu na pana kapitana. Czy mogę go tu poprosić.

— Nie — ukrył zdziwienie, do któoego zaczynał się już przyzwyczajać. — Zaraz zejdę do mego numeru. Przyjmę go w gabinecie — Jaz przypomniał, że zapłacił także za gabinet.

— Yes, sir — zasalutował boy.

Jaz zapłacił, kupił paczkę papierosów „Cortez" — okazuje się, że są naprawdę dobre — i zeszedł do windy, która zawiozła go na czwarte piętro.

— Cliff — zwrócił się do wiernego służącego — Zaraz przyjdzie tu do mnie pewien osobnik, którego najpewniej nie znam. Przyjmę go w gabinecie. Zostaniesz w tym pokoju na straży, a gdybyś usłyszał coś podejrzanego, lub mój dwukrotny dzwonek — wbiegniesz od razu. Na wszelki wypadek przygotuj swój rewolwer.

Teraz już Cliff nie wątpił, że jego pan wstąpił conajmniej do bandy gangsterów i przeżegnał się szybko i niespostrzeżenie. Lecz oczywiście usłuchał rozkazu.

Tymczasem Jazon Kent wszedł do gabinetu i zasiadł za stylowym biurkiem, niczem wielki przemysłowiec w głównej siedzibie swego światowego koncernu— — i namyślił się:

Przybyłym nie był na pewno dyrektor Sedgwick, gdyż z tym umówił się na pierwszą. Nie mógł to też być nikt znajomy, z tej choćby prostej przyczyny, że kapitan Jazon Kent nie znał w Chicago nikogo i przyjechał dopiero wczoraj. Pozostawał tylko ów autor anonimowego listu, pisanego na maszynie i kończącego się groźbą.

Dlatego przezorny Jazon rozkazał Cliffowi czuwać z rewolwerem. Strzeżonego — jak wiadomo — Pan Bóg strzeże. Z tą myślą połączył się telefonicznie z halą portiera.

— Tu kapitan Kent. Gdy ów pan czeka jeszcze na mnie.

— Yes, sir.

— Proszę go wprowadzić przez boy'a.

— Very good, sir.

Po kilku minutach rozległo się pukanie do drzwi i Jazon nieznacznie wsunął szufladę, do której włożył swój stary, nocny browning. Wbrew przypuszczeniu twarz nieznajomego jednak nie była dla kapitana obca. Poznał natychmiast człowieka, którego wczoraj widział na dancingu w „Petit Gourmet" w czasie tańca z Thelmą na zatłoczonym parkiecie. Osobnik tańczył z jakąś brunetką i wczoraj Jaz nie zwrócił na to oczywiście uwagi — ale teraz przypomniał sobie od razu. Kapitan miał znakomitą pamięć fizjognomistyczną.

Uśmiechnął się skrycie, albowiem zdawało mu się że zaczyna się czegoś domyślać.

— Proszę — wskazał krzesło, lecz nieznajomy gość nie usłuchał. Został w pozycji stojącej tuż przy drzwiach, jakby w każdej chwili gotów do ucieczki.

— Nie ma obawy, mister... — uspokoił go Jaz protekcjonalnie i urwał tajemniczo... — Sądzę, że wczoraj w nocy zdążył pan przyjrzeć mi się dość dokładnie.

— Tak, — odparł wreszcie nieznajomy, siadając, — a teraz chcę z panem porozmawiać, kapitanie Kent. I dlatego przyszedłem.

W głosie obecnego przebijało coś, jakby groźba.

ROZDZIAŁ VIII.

ODWAŻNY JAZ

Ale Jazon Kent nie należał do gatunku ludzi, którzy się boją. Poza tym nie wiedział, przed czym miał by odczuwać strach. Zmierzył przybyłego badawczym, lekko i umyślnie przesadzonym w nonszalancji spojrzeniem i podsunął mu pudełko papierosów — lecz, ku zdumieniu kapitana, gość spojrzał tylko dziwnie na „Cortez'y" i... uśmiechnął się.

— Dziękuję i... rozumiem — rzekł normalnym głosem. — Zupełnie zbytecznie — bo wiedziałem już od wczoraj.

— Co jest zbyteczne i o czym pan wiedział, mister. Jak pana właściwie nazywać.

— Poco udawać naiwnego, kapitanie Kent. Pogadajmy poważnie.

— I otwarcie, bo tej tajemniczości mam już po uszy — uzupełnił Jaz, który już po trochu zaczynał tracić cierpliwość. „Rozumiem", „zbyteczne", „wiedziałem od wczoraj". Co to wszystko miało oznaczać, do stu par kadzi śledziowych!

— Hm... otwarcie — przyzna pan, kapitanie, że to byłoby nieco ryzykowne dla nas, wobec faktu pańskiego kontaktu z Sedgwickiem i z... miss Murray.

Jazon Kent był człowiekiem nawet z rodzaju cierpliwych i wyrozumiałych — jednak, co zanadto, to niesmaczne. Cała sprawa zaczynała go już zlekka nudzić. Tajemnice, niedopowiedzenia, uśmieszki, — jakieś zwariowane qui pro quo. Postanowił tedy rozwiązać węzeł jednem cięciem, niczem nowoczesny Aleksander Macedoński.

— Za kogo pan mnie właściwie uważa. I pan, i Sedgwick. Nazywam się Jazon Kent, jestem kapitanem marynarki handlowej i w Chicago jestem od wczoraj. O co panu chodzi.

— Tylko o jedną rzecz.

— Niechże nareszcie usłyszę.

— Zbyteczne. Przecież po co pan przyjechał do Chicago, kapitanie.

— Ma pan dla mnie jakieś zajęcie. Już drugi! — ciekawe.

— Oczywiście. W tym celu tu przyszedłem.

— Czy pan napisał do mnie ten anonim z głupim ostrzeżeniem.

— Tak, to my.

— Pluralis majestatis, jak słyszę i wybitna bezczelność. Kogo pan reprezentuje.

— To pana nie powinno obchodzić, captain. Instrukcje będą wydawane przeze mnie osobiście.

— Coraz ciekawsze! Powiedzmy. Jakiego rodzaju zajęcie mam otrzymać. Czemu mam je otrzymać bez żadnej oferty z mojej strony, to pytanie na później. Więc?

— To samo, jakie ofiaruje panu Sedgwick i... Murray.

— Morskie! Podam tylko, że Murray jeszcze mi nic nie ofiarował. Mam zamiar zwrócić się do niego i zastanawiam się właśnie, skąd pan o tym już wie.

— My wszystko wiemy — rzekł nieznajomy. Trzymał przez cały czas rękę w kieszeni, co nie uszło uwadze Jaza.

— Dlaczego trzyma pan wciąż dłoń na rewolwerze, mister „X".

Pytanie zadane było z taką otwartością i prostotą, że tajemniczy nieznajomy mimo woli wyjął rękę i spojrzał na kapitana z wyraźnym podziwem.

— Pan jest odważny, kapitanie Kent.

Jazon zapalił nowego papierosa.

— Nie wymienię z panem więcej ani jednego zdania i wyleję pana na łeb za drzwi i razem z posadą, — o ile nie dowiem się z kim mówię.

— Proszę mnie nazywać po prostu: Ranton, i nic więcej.

— Naturalnie fałszywe nazwisko.

— Takie dobre, jak każde inne. Przystąpmy jednak do sprawy, kapitanie. Ile pan żąda.

— Za co?

— Bliższych szczegółów dowie się pan w swoim czasie. Na razie chodzi nam o zobowiązanie, że nie zrobi pan tego dla nikogo innego. Przede wszystkim mam tu na myśli Sedgwicka.

— Czyli opcja na moją osobę.

— Nie wiem jak to się określa handlowo, lecz zdaje mi się, że opcja będzie wyrażeniem najodpowiedniejszym. Tak... opcja — powtórzył, jakoby sobie coś przypomniał. — Zatem ile?

— To zależałoby — teoretycznie, zaznaczam! — od czasu trwania opcji.

— Powiedzmy, na dwa tygodnie, czyli tyle, ile będzie potrzeba na przygotowanie terenu dla pańskiej działalności, kapitanie Kent.

— Przestańże pan z tym tytułowaniem, Ranton. Dwa tygodnie — myślę, że tysiąc dolarów nie będzie zanadto.

— Well — przysłał Ranton, a Jaz przestraszył się poważnie po raz pierwszy od czasu tej przygody. Przecież o pierwszej miał dzwonić i umówić się z Sedgwickiem, a wieczorem obiecywał sobie randkę z miss Murray. (Aż przyjemnie o tym pomyśleć). Uśmiechnął się:

— Zaraz, my friend, nie tak prędko. Zdecydowaną odpowiedź otrzyma pan jutro o tej porze. Przedtem nie.

— Chce pan porozumieć się z Sedgwickiem... wbrew naszemu ostrzeżeniu. To może obu wyjść na złe.

— Gwiżdżę na groźby, i — o ile mamy ubić interes — przestań straszyć, Ranton. Ja się nie boję. Muszę pomówić przedtem z Sedgwickiem, bo nuż on ofiaruje mi więcej — skoro już się tu wszyscy w Chicago uwzięli, żeby na gwałt zrobić ze mnie milionera w amerykańskim tempie i nie wiem dlaczego. Ale nie mam nic przeciwko takiemu kursowi filantropii. Jak widzę, Chicago nie takie straszne jak je malują.

— Pan jest bardzo odważnym człowiekiem, kapitanie — powtórzył Ranton już po raz drugi i z przekonaniem w głosie.

— Jestem tylko szczery, Ranton. Dlatego dodaję, że nie mam zamiaru narażać się dla jakichś spraw, które mnie nie obchodzą. Jestem gotów służyć wam posiadanymi przeze mnie wiadomościami fachowymi i nic więcej.

— I odwaga, captain. To najważniejsze.

— Jeżeli taką, jaką wykazałem dotychczas w pańskim imieniu — chętnie. A zatem — na razie to wszystko.

Wstał na znak, że dziwną rozmowę uważa za skończoną. — Jutro o dwunastej czekam telefonu od pana. Wtedy dam ostateczną odpowiedź. Teraz chcę się trochę przespacerować do pierwszej.

— Od kiedy to — zaśmiał się Ranton chytrze — od kiedy to nazywamy — spacerem.

— Mój panie, bez impertynencji!

Ranton nie przejął się uwagą Jaza, obejrzał się wokoło, zerknął na drzwi, na drodze do których siedział i nagłym ruchem wyjął z kieszeni mały, błyszczący rewolwer. Stało się to tak błaskawicznie szybko, że Jaz nie zdążył się poruszyć, a już usłyszał:

— Ręce na biurku i dłonie na płask, kapitanie Kent.

— Schowaj tę zabawkę. Ranton — Jaz ani myślał dać się sterroryzować i włożył ręce do kieszeni. — W sąsiednim pokoju czuwa mój pomocnik, ekсludożerca z plemienia Dianga. Gdyby mi włos spadł z głowy, Cliff posieka cię na drobny kotlet i zje na surowo. On to uczyni i potem z zimną krwią pójdzie do baru, popije jasnym piwem i powie: kismet.

Ranton nie zdawał się być przejęty tą makabryczną groźbą. Przez chwilę patrzał w jasne, szczere oczy Jaza i nagle schował rewolwer tak szybko, jak go wydobył.

— To była podwójna próba, kapitanie. Przede wszystkim pańskiej odwagi.

— A po drugie?

— Mojej szybkości działania. Mogłem pana zastrzelić jak amen i stu nawet ludożerców nie przywróciłoby bicia twemu sercu. A życie to piękna rzecz i warta skosztowania. Jutro o dwunastej zadzwonię. Nie radzę próbować mnie śledzić.

Wyszedł bez pożegnania i Jazon siedział przez dłuższą chwilę w bezruchu. Powoli wracały mu myśli i zdolność rozumowania. Nie wiedział co sądzić o całej historii. O qui pro quo nie mogło chyba być mowy, skoro on wyraźnie oświadczył kim jest. Nie ukrywał też ani maskował swego prostolinijnego stanowiska. A jednak — tu było coś, czego w żaden sposób nie mógł zrozumieć, jakieś czarne, tajemnicze miejsce na planie sytuacji. Machnął ręką z rezygnacją; trzeba czekać.

Zegarek na kominku wskazywał pół do dwunastej, gdy do pokoju wszedł Cliff i spojrzał z zaciekawieniem na swego zadumanego pana.

— Już poszedł, sir... Ten rudy.

Ciąg dalszy w nast. numerze.



Niedziela, dnia 9 stycznia 1938 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie 12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 „U starych mistrzów" — koncert 16.20 Najpiękniejsze polskie kołysanki Jezusowe 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie z Poznania 18.50 „Wywodziny" — fragment z „Wesela na Górnym Śląsku" S. Ligonia i A. Kubiczka 19.35 Słynni wirtuozi (II audycja) 21.15 Wieczór piosenek Berengera 22.00 Opowieść o Beethovenie (audycja I-sza).

Poniedziałek, dnia 10 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.40 „Od warsztatu do warsztatu: Garncarstwo" 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Orkiestra mandolinistów „Kaskada" z Wilna 17.00 Najdłuższe kanały na świecie — odczyt 17.15 Recital śpiewaczy Walerii Jędrzejowskiej 17.50 Sport w Dolinie Janowej — reportaż 18.10 Zimowe nastroje — płyty 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Dyskutujmy: Czy możemy żyć bez książki? 20.00 „W krainie operetki" — koncert rozrywkowy 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 11 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Fragmenty symfoniczne z oper Rinski Korsakowa (płyty) 15.45 „Złoto i porcelana" — obrazek słuchowiskowy dla dzieci 16.15 Kolędy śpiewane na Śląsku — audycja słowno-muzyczna 17.15 Orkiestra Policji Państwowej 17.50 W lodowych okowach Bałtyku — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki": „Nibelungi" wiecz. VIII 19.30 „Muzyka w masce" 20.00 „Nędza uszczęśliwiona" — opera w 2-ch aktach 21.45 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry.

Środa, dnia 12 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Claude Debussy: Mała suita (płyty) 15.45 „Chwilka pytań" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Potpourri operetkowe w wyk. Wileńskiej Orkiestry 17.00 „Piechota w walce z czołgami" — odczyt 17.15 Recital śpiewaczy Lorenzo Coneti 17.50 Obrona konieczna — pogadanka 18.10 Zespoły mandolinistów i cytrzystów (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Imieniny pani Cecylii" — obrazek obyczajowy z powieści „Marionetki" S. Otwinowskiego 19.20 Pieśni zaściankowe w wyk. Krystyny Krahelskiej 19.35 Wartość życia ludzkiego — odczyt 20.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R. 21.00 Koncert chopinowski 21.35 **Koncert europejski** z Holandii 22.40 Orkiestra Barnabasa Geczy (płyty).

Czwartek, dnia 13 stycznia 1933 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Klasycy i romantycy — poranek muzyczny dla gimnazjum 11.40 „Pieśni bez słów" (płyty) 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieża 16.15 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Śląskiej Kapeli Ludowej 17.00 Uniwersytet Stefana Batorego — odczyt 17.15 Eugene Samuel-Holeman: Dziewczyna w oknie 17.50 „O typach biegaczy" — pogadanka 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Alkestis" Eurypidesa w Klasycznym Teatrze Wyobraźni 20.10 Koncert rozrywkowy z Poznania 21.45 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki E. Skiwskiego 20 — koncert.
22.00 Ludwik van Beethoven: Septet Es-Dur op.

Piątek, dnia 14 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Arie z oper Czajkowskiego (płyty) 15.45 „Bociek-Kuba" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Łódzka Orkiestra Salonowa 17.00 Współczesna matka — pogadanka 17.15 „Królowie chodzą" — ukraińskie słuchowisko obrzędowe 18.10 Melodie filmowe (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Cień Macieja Poscala" — Luigi Pirandello w Teatrze Wyobraźni 19.40 Intermezzo charakterystyczne (płyty) 20.00 Koncert symfoniczny z sali Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 15 stycznia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Colette Franz — skrzypce (płyty) 15.45 „Kukułczęta" — wesoła audycja dla dzieci z Wilna 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 Z galerii dziwaków syberyjskich — felieton 17.15 „Od Aten do Bayreuth (IV audycja) 18.15 Jeanette Mac Donald i Nelton Eddy śpiewają (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert muzyki ludowej 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R.



JAK BAWIĄ SIĘ NOWOCZESNE DZIECI

Dzieci, co wy tu wyrabiacie! Dajcie pokój, bo zadusicie Antosia.

— Nic mu się nie stanie, mamusiu. Bawimy się w podatki i Antoś jest właśnie płatnikiem.

DOBRA RADA

— Jak to dobrze, że pana spotykam! Zapomniałem w domu portmonetki, nie mam czym zapłacić rachunku, może mi pan pożyczy pięć złotych?

— Wie pan co? Lepiej pożyczę panu 25 groszy na tramwaj, pójdzie pan do domu, i przywiezie sobie portmonetkę.

WŚRÓD SZKOTÓW

— Mac Gregor! Bój się Boga! Cóżeś taki blady?

— Śniło mi się — odpowiada Mac Gregor grobowym głosem, — że zgubiłem dziesięć szylingów.

— Więc cóż z tego? To tylko sen. Jest się czym martwić!

— Tak, ale gdyby to była prawda?

W SĄDZIE

— Jesteście oskarżeni o to, żeście konia 12-letniego sprzedali jako 6-letniego. Czym się tłumaczycie?

— Panie nadradco! te 6 lat różnicy, to był cały mój zarobek.

SPRYTNY SUBIEKT

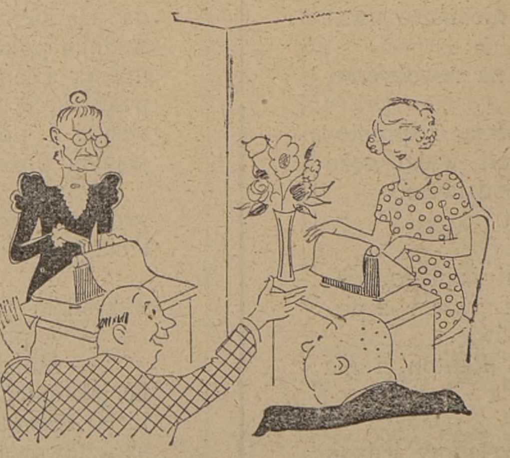
Pan Kostek kupuje w sklepie materiał na płaszcz dla żony.

— Czy to czysta wełna? — pyta.

— Gwarantowana!

No dobrze, ale tu na karteczce jest napisane „bawełna"!

— To... żeby oszukać mole! — odpowiada subiekt z uśmiechem.



— Popatrz! Pani z prawej dyktuję zawsze listy zachwalające wyroby mej fabryki, a tej z lewej upomnienia dla dłużników!

SMAKOSZ W RESTAURACJI

— Co pan sobie życzy?

— Przede wszystkim tuzin ostryg z sosem pomidorowym.

— Proszę bardzo.

— Potem omlet z szynką i z parmezanem, ale z oryginalnym parmezanem!

— Słucham pana.

— Dalej roastbef, wypieczony i bez tłuszczu.

— Proszę bardzo.

— Do tego frytki ze świeżym masłem.

— Tak, proszę.

— A na deser ciastko z jabłkami, kieliszek benedyktyna i czarna kawa.

— Już się robi, proszę pana.

— No tak, życzyłbym sobie zjeść taki obiad. Mój lekarz nie pozwala mi jednak opychać się smakołykami. Zadysponował mi obiad, składający się ze szklanki zimnego mleka i biszkoptu angielskiego. Proszę więc o mleko i biszkopt.

PRZYKŁAD

— Zdzisiu, Zdzisiu — woła mama z drugiego pokoju — czego Zosia tak płacze?! Czyżbyś zrobił jej krzywdę?

— Ale gdzietam, mamusiu, ja ją tylko uczę, pokazuję jej, jak powinna jeść swoje pierniki!.

NA WYSTAWIE SZTUKI

— Oto ideał postaci kobiety! Co za kształty, co za piękność! Jak żywa!

— A tak! Brak jej tylko mowy!

— Eh, właśnie dlatego to doskonałość!

OKROPNIE

Zaliwajski lubi opowiadać przy każdej okazji o swych przeżyciach wojennych. — Ktoś znający jego słabostki pyta go pewnego razu:

— I cóż, drogi panie, jakże tam było na wojnie?

— Okropnie, powiadam panu! Wieczorem kładł się człowiek zdrowy, a nazajutrz budził się zabity.

ROZTARGNIENIE

Profesor B. słynie z roztargnienia. Pewnego dnia pan profesor składa wizytę kondolencyjną znajomej, której mąż zmarł przed kilku dniami.

Ledwie powitał panią domu, profesor B. zapomniał już o celu wizyty.

Po krótkiej rozmowie, pyta:

— A cóż porabia szanowny małżonek?

— Mój mąż? Już na cmentarzu, panie profesorze...

— Niezwykły pomysł — dziwi się profesor, — w nocy chodzić po cmentarzu!

NIC NIE POWIE

— Co droga pani myśli o swojej nowej sąsiadce?

— Nie mogę pani tego wyjawić. Nie należę do osób, które źle mówią o innych kobietach. Mogę tylko tyle pani powiedzieć, że żal mi męża tej kobiety.

W RESTAURACJI

— Kotlet był doskonały! — mówi gość do kelnera. — Będę wszystkim polecał wasz zakład. Proszę o tym powiedzieć gospodarzowi!

Kelner uśmiecha się na to z zakłopotaniem:

— Lepiej nic nie powiem. Bo ja przez pomyłkę dałem panu kotlet, który był zrobiony dla gospodarza.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

P L. K. z B. Serdecznie dziękujemy za ten morowy list! Szczególnie przypadło nam do gustu to zdanie, w którym jest mowa o „7 latach tłustych". Oby!... Dosiego!

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preuumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.